

4

TYFUS MYSI

Przed bez mała tysiącem lat, wzdłuż południowych brzegów Bałtyku wyrosły miasta Hanzeatyckiej Ligi jak sznur gotyckich pereł osadzonych pośród nadmorskich piasków. Wokół kościołów o strzelistych wieżach i wąskimi średniowiecznymi zaułkami niósł się dźwięk niemieckiej mowy. Wiatr wzdymał żagle okrętów wiozących płody ziem słowiańskich, pruskich, litewskich, fińskich, od Zatoki Botnickiej, po Skagerrak i Kattegat, i dalej - do Flandrii i Anglii.

Jedną z mniejszych pereł było miasto portowe Elbląg, wciśnięte w głąb lądu, połączone z Zalewem Wiślanym odnogą rzeki. Minęło kilkaset lat. Połączenie wodne zamuliło się i port osiadł na piasku. Pozostały starożytne mury i wspomnienia dawnej świetności. Przemijały pokolenia, niewiele się zmieniało. Burze dziejowe przechodziły gdzieś bokiem. Aż tu po kilkuset latach historia znowu zastukała do bram Elbląga. Huk armat wstrząsnął murami miasta, a jego nazwa ukazała się, na krótko wprawdzie, w komunikatach wojennych Berlina i Moskwy.

Gdy w sześć lat później, w 1951 roku, los rzucił mnie do Elbląga, miasto zimą przypominało kształtem obwarzanek, latem wieniec żałobny. W środku zgliszcza, a dokoła wstęga przedmieść przerośniętych zielenią. Zabytkowe centrum uległo zniszczeniu, ocalały zbudowane później przedmieścia. Nowi mieszkańcy mało wiedzieli i niewiele się interesowali przeszłością Elbląga. Pokazywano ruiny budowli, gdzie miał się zatrzymać w przejeździe szef Luftwaffe, Reichsmarschall Herman Göring, jakby dzieje Elbląga od niego się zaczynały, a nie na nim kończyły.

Ludność miasta w sile sześćdziesięciu tysięcy składała się, jak mówiono, z samych wyrzutków. Jedną dzielnicę zamieszkiwali Polacy wyrzuceni z Francji za komunizm. Byli to głównie górnicy z kopalń węgla na północy. Niektórzy zresztą przyjechali dobrowolnie, skuszeni obietnicą robotniczego raju. Słyszało się tam często dźwięczną mowę madame Bovary i Robespierre'a.

Inną grupę ludności stanowili Polacy wyrzuceni z Buga. Tych odróżniało się po śpiewnym akcencie i nieraz po gramatycznych dziwolągach. Przybysze z centralnej Polski rzadko kiedy wyjawiali, dlaczego wybrali Elbląg na swą siedzibę.

Mnie przypadł los wyrzuconego z Akademii Medycznej w Gdańsku, co było poprzedzone wyrzuceniem z wojska za Armię Krajową.

Do Elbląga dojechałem pociągiem z przesiadką w Malborku, gdzie czekało się prawie godzinę. W miasteczku przeważały gruzy i zgliszcza, a zamek krzyżacki, poszczerbiony pociskami i bombami, zarastały chwasty. Można tam było wejść do środka zwodzonym mostem nad suchą fosą i robić co się chciało. Pośród bujnej trawy leżały zwalone kamienne posągi wielkich mistrzów zakonu. Kilku podniesiono i oparto o mur. Stali wpatrzeni kamiennym wzrokiem w ruiny swego zamku. Winrich von Kniprode, Ulrich von Jungingen, Heinrich von Plauen i inni mniej mi znani.

Wejście do katedry zabite było deskami. Napis ostrzegał, że groziło zawalenie. W jednej ze ścian miała tkwić kamienna kula wystrzelona przez Polaków w 1410 roku z armaty zdobytej pod Grunwaldem. Zimą 1945 roku, gdy Rosjanie otoczyli miasto, zamku opartego murami o rzekę bronił oddział niemieckiej policji i stąd zniszczenia.

Poza pociągiem nie było jeszcze połączenia Trójmiasta z Elblągiem. Cofając się, Niemcy wysadzili tamy i woda zalała żyzne niziny w delcie Wisły. Szosa do Gdańska nie zawsze znajdowała się powyżej powierzchni rozlewiska.

Według nakazu pracy miałem się zgłosić do Szpitala Miejskiego imienia niejakiego Gromkowskiego. Po okazaniu dokumentów w wartowni przy bramie udałem się do gabinetu doktora Barańskiego, dyrektora szpitala i ordynatora chirurgii. Był to barczysty, szpakowaty mężczyzna średniego wieku udający wesołość. Gdy nasza rozmowa dobiegała końca, dr N., młody asystent doktora Barańskiego, zaprosił mnie do wzięcia udziału w obchodzie. Stanąwszy przy łóżku pacjenta bez nogi wyjaśnił: pan Kowalski chciał zatrzymać pociąg własną nogą. Z podobną swadą opisywał i innych chorych, jeśli się dało. Nie miałem okazji poznać go bliżej, wkrótce zniknął. Podobno zgłosił się do wojska.

Z chirurgii zaprowadzono mnie na oddział dziecięcy, gdzie zostałem przedstawiony doktorowi Wiśniewskiemu. Właśnie robił obchód, otoczony wianuszkami młodych pielęgniarek w bieli. Był to postawny siwy pan, po sześćdziesiątce, średniego wzrostu, szczupły, o kulturalnych manierach i takimże wyglądem. Ucieszył się wielce z mego przybycia, jako że uginał się pod ciężarem obowiązków, które

pod naciskiem władz zgodził się wykonywać, nie mając na to ani czasu, ani sił.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to obandażowane klamki, zwilżone formaliną. Przy otwieraniu drzwi dłoń automatycznie wchodziła w kontakt z formaliną, ulegając dezynfekcji. Miało to zapobiegać szerzeniu się wewnątrzoddziałowych zakażeń. Wprawdzie w każdym pokoju stała miednica z roztworem formaliny i każdy pracownik oddziału miał obowiązek, przechodząc od pacjenta do pacjenta, opłukiwać ręce, ale najwidoczniej nie wszyscy tego przestrzegali.

Wkrótce odczułem lekkie swędzenie oczu i szorstkość w gardle. Przez następne kilka tygodni męczył mnie suchy kaszel. Sądziłem, że to od oparów formaliny. Jednak starzy mieszkańcy Elbląga innego byli zdania. Według nich każdy przybysz chorował, zanim przywykł do klimatu. Poza infekcją dróg oddechowych, ostatnio nowo przybyli zapadali także na biegunkę. Przyczyną chorób miały być miazmaty unoszące się ponad miastem położonym poniżej poziomu morza. Podobno za niemieckich czasów urzędnikom przeniesionym do Elbląga wypłacano dodatek zdrowotny do pensji.

Doktor Wiśniewski „miał na głowie” trzydziestodwułóżkowy oddział dziecięcy, dom dziecka, żłobki, pięć ośrodków zdrowia, z których tylko dwa czy trzy obsługiwali inni lekarze. Do tego jeszcze sporą prywatną praktykę. Jak wyliczono później, sama praca zawodowa zajmowała mu ponad 24 godziny na dobę. Raz na tydzień sam odwiedzał Gdańsk, gdzie podobno przy brzęku kielichów odprężał się w towarzystwie kobiet. Zdawał się spieszyć, jakby mu niewiele dni pozostało. Okazało się, że miał rację.

Szef oddziału chorób wewnętrznych, dr Gruchalski, zwany Gruchałem, spędził kilka lat w Oświęcimiu. Był to wysoki mężczyzna, prosty i chudy jak zapałka zakończona u góry małą, łysą głową. Nieraz, gdy poddawano krytyce jego wiedzę, ripostował, że uczył się medycyny u najlepszych profesorów całej Europy - współwięźniów w szpitalu obozu koncentracyjnego.

Szefem ginekologii i położnictwa, i jedynym specjalistą na miasto oraz powiat, był starszy lekarz pamiętający dobrze czasy Franciszka Józefa. Ze łzą w oku i uśmiechem na ustach wspominał, jak to zabawiali się młodzi oficerowie cesarsko-królewskiej armii, pijąc wino z damskich pantofelków przy dźwiękach walca i czardasza, podczas gdy bose panie tańczyły solo na stołach. Mrugał przy tym porozumiewawczo. Jemu także zarzucano nieuctwo. Zimą

jedna z jego pacjentek umarła przy porodzie. Zwłoki odniesiono do kostnicy i włożono do trumny. Gdy następnego dnia uchylono wieko, pomiędzy nogami zmarłej leżał martwy noworodek. Plotka szpitalna winiła doktora o wystawienie świadectwa zgonu żywej kobiecie.

- Co to za lekarz - mówiono - co nie potrafi odróżnić żyjącego od trupa.

Kostnica była nieopalana i uważano, że matka i dziecko zamarli na śmierć. Administracja szpitala zaprzeczyła temu, pracownicy jednak prędkiej dali wiarę byle jakiej plotce niż oficjalnym wyjaśnieniom. Miasto zachłystywało się takimi historiami, bo w nudnych gazetach były tylko dobre wiadomości. Po tym wydarzeniu posypały się opowieści o ludziach uznanych za zmarłych i pochowanych, chociaż byli tylko w letargu. Budzili się oni w trumnie, dwa metry w głębi ziemi, w ciemności, i umierali z uduszenia, gdy zapas tlenu wyczerpał się. Cytowano przypadek kobiety ekshumowanej z jakichś tam powodów wkrótce po pogrzebie. Całą twarz miała zakrwawioną, gdyż dusząc się podrapała ją paznokciami.

Lekarzem najbardziej zadowolonym z przybycia kilku nowych młodych kolegów był dr Dąbski, asystent Barańskiego, sam zresztą niestary, trochę po trzydziestce. Był tak zagoniony, że brakło mu czasu do wypełniania historii chorób. Nieraz zdarzało się, że w rok po wypisaniu pacjenta przychodził milicjant po dokumentację potrzebną sądowi w przypadkach odszkodowania. Doktor zagląda do historii choroby, a tam tylko daty, nazwisko i adres. Niczego nie pamiętając, Dąbski - jak sam nam opowiadał - starał się wydobyć od milicjanta jakieś szczegóły - np. czy pacjent stracił rękę czy nogę i którą - i szybko, retrospektywnie dorabiał opis operacji i przebieg rekonwalescencji.

Trudno było sobie wyobrazić nazwisko lepiej dopasowane do osoby. Wysoki, barczysty, proporcjonalnie zbudowany, o szarej cerze, niby wyciosany z granitu. Chłop jak dąb. Powolny, tubalny głos wydobywający się jakby z głębi wulkanu przypominał daleki grzmot. Nie wyglądał na człowieka mogącego się kiedykolwiek spieszyć, choć nie można było powiedzieć, aby poruszał się wolno. Użaliłem mu się, że według nakazu Ministerstwa Zdrowia, z uwagi na krytyczną sytuację w Elblągu, wszyscy lekarze muszą pracować dziesięć godzin dziennie. Dąbski przyjął tę wiadomość z zadowoleniem jako zapowiedź lepszych czasów. On sam pracował więcej niż dwanaście godzin i to nie z własnej woli.

Kierownikiem laboratorium był facet o przydomku Piszczek - z powodu skrzekliwego głosu. Ciało pasowało do głosu jak ulał. Mały, chudy, pomarszczony, o chorowitym wyglądzie. Nie sposób było odgadnąć jego wiek. Piszczek miał siedmioro dzieci i żonę, która wzrostem biła go o głowę, a w obwodzie kilka razy. Robiono różne domniemania co do ojcostwa tej dziewczyny. Szpital liczył pięćset łóżek i zawsze był pełen. Nie mając nikogo do pomocy Piszczek robił sam wszystkie badania od płwociny do moczu, pobierał krew, dwoił się i troił. Wywiązywał się dobrze z obowiązków i rzadko kiedy kwestionowano wyniki jego badań. Od wyników tych zależał nieraz wybór dalszego leczenia.

Pacjentów, którym się nie powiodło, czekała kostnica. Jej „kierownikiem” był jedyny Niemiec zatrudniony w szpitalu, zwany Hansem. Do jego obowiązków należały różne czynności przedpogrzebowe, włączając mycie i ubieranie zwłok. Był to człowiek albo niestary, albo dobrze zakonserwowany, z kształtu bardziej owalny niż kanciasty, niewysoki, o włosach białych jak śnieg, rumianych policzkach i błękitnych oczach. Po polsku musiał sporo rozumieć. Gdy mu coś tłumaczono, z lekka potakiwał głową, ale nie odzywał się i unikał wzrok swego rozmówcy. Albo był małomówny, albo niemowa. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek zamienił z nim kilka zdań, choć oddział pediatryczny dostarczał mu najwięcej pracy. Przy wyprowadzaniu zwłok stawał w drzwiach kostnicy z głową pochyloną ku ziemi. Krewni zmarłego wtykali mu w rękę parę banknotów za ostatnią posługę. Uważano go za najlepiej zarabiającego pracownika szpitala. Z błękitnych oczu patrzyło mu wilkiem i pewnie dlatego ukrywał spojrzenie. Przejmowanie zwłok musiało sprawiać mu przyjemność. Zawsze taki sam, biało-rumiany, o niezmiennym, nieprzeniknionym wyrazie twarzy, ożywiał się nieco, zwłaszcza w oczach, na widok nowego trupa. Podejrzywałem, że cieszył go widok nieżywych wrogów jego narodu, że chętnie przyjąłby nas wszystkich do swej kostnicy.

Zajęło mi trochę czasu, nim wydedukowałem, że jedną z najważniejszych osobistości była przełożona pielęgniarek, Wiera Kohn. Wysoka, nieco otyła, poruszała się z godnością, bez pośpiechu. Choć nie podnosiła głosu, słyszeć ją było z daleka. Do najważniejszych należał również bezbarwny wicedyrektor szpitala. Nie pamiętam jego nazwiska, więc niech mu będzie Milczek. Nie mówił co wiedział. Zawsze taki sam. Jeśli kiedykolwiek się uśmiechnął, to zaraz się pohamował. Ilekroć usiłuję przypomnieć

sobie jego twarz, ukazuje mi się portret Bieruta. Musiało być jakieś podobieństwo. I wreszcie personalny - Baster. O nim wiedziano tylko, że codziennie składał meldunki w Urzędzie Bezpieczeństwa. Doktorowi Barańskiemu zarzucano, oczywiście poza jego plecami, obcinanie pensji pracowników szpitala. Miał za to dostawać premię proporcjonalną do rozmiarów cięć. Był on lekarzem UB i czasem pokazywał się w mundurze majora. Należał do „junty” rządzącej miastem.

Zdaniem młodych lekarzy wyrzuconych z uniwersytetów, ordynatorzy byli nieukami. Nikt ich do Elbląga nie zapędził. Zjechali tu sami, aby w zaciszu prowincjonalnego miasteczka, z dala od wszelkich wstrząsów dokonać swego zawodowego i osobistego życia. Zaś wielu lekarzy na prowincji nie miało zbyt wysokiej opinii o swych kolegach z uniwersyteckich ośrodków, uważając ich pracę za przysłowiowe łupanie zapałki na czworo, o znikomym praktycznym zastosowaniu. Przyjazd nowych kolegów nie wróżył zasiedziałym lekarzom spokoju. Nic nie wróżyło spokoju.

Od razu dostałem się w tak zwany wir pracy. Rano szpital, po południu ośrodki zdrowia i żłobki. Dziesięć godzin dziennie z okładem i pół soboty. Cały system opieki nad matką i dzieckiem przypominał okręt, do którego woda wdziera się wieloma szczelinami. Zatykano mną różne dziury, z których największą był szpital, bo byłem jedynym specjalistą w pediatrii na miasto i powiat.

Oddział dziecięcy liczył trzydzieści dwa łóżka, większość dla niemowląt. Z doktorem Wiśniewskim podzieliliśmy się po połowie. Mnóstwo dzieci wypisywano do domu na żądanie rodziców. Wkrótce zrozumiałem, o co chodzi. Ordynator, jeśli nie zachęcał, to w każdym razie nie sprzeciwiał się wypisywaniu ciężko chorych i umierających. Dzięki temu unikało się przykrego obowiązku oznajmiania zgonu rodzinie, a i statystyka szpitalna zyskiwała na tym. Zrozpaczeni rodzice zazwyczaj pędzili z umierającym dzieckiem na rękach do jakiegoś znachora lub partacza o reputacji cudotwórcy.

Wiele niemowląt wyleczonych z zapalenia płuc, oskrzeli... itd, wracało po kilku tygodniach i zwykle umierało z objawami biegunki. Zacząłem posyłać kał na posiew i w kilku przypadkach wyhodowano bakterie tyfusu mysiego (*Salmonella Typhi Murium*).

Tu muszę się cofnąć o parę lat. Po wojnie polskie władze zabrały się do osuszania Żuław. Gdy tylko żyzna ziemia była gotowa, przystąpiono do zasiewów. Jednak prawie nic nie wzrosło - z powodu

myszy. Pług wyorywał całe gniazda. Za rolnikiem rzucającym ziarno sunęły rojem myszy i jadły ziarno zaledwie dotknęło ono ziemi. Trucizny nie pomogły. Ktoś we władzach wpadł na pomysł zastosowania broni bakteriologicznej - zarazić myszy tyfusem. Zwrócono się po aprobatę do epidemiologów, którzy stanowczo odradzili. Ich zdaniem myszom wielka krzywda się nie stanie, a zaraza przeniesie się na ludzi. Władze nie odstąpiły jednak od swego projektu. Skutek był taki, że Elbląg zastąpił w Polsce największą śmiertelnością dzieci, a niemal każdy nowo przybyły dorosły dostawał biegunki.

Młodzi lekarze z uniwersyteckim stażem siłą naturalnego przyciągania stworzyli osobną towarzysko-zawodową grupę. Odwiedzaliśmy się wzajemnie, a najczęściej spotykaliśmy się u chirurga, doktora Śląskiego, mojego rówieśnika. Mieszkał na wprost szpitala, razem z żoną Basią i dwoma synami. Jeden już umiał chodzić, drugi był jeszcze w pieluchach. Zaprzyjaźniłem się ze starszym, Mackiem. Liczył sobie bez mała trzy lata. Przyjaźń ta znalazła wyraz w formie zabawy polegającej na tym, że on uciekał co siły w nogach, a ja rzucałem w niego małą poduszką, wołając - bomba atomowa. Tak mu to przypadło do gustu, że po każdym rzucie, zwykle celnym, sam mi przynosił poduszkę i od razu uciekał. Zabawa ta trwała, dopóki się nie zziąjął. Maciek był piegowaty, więc raz mu powiedziałem - jesteś piegus, innym razem - jesteś indycze jajo. Przezwiseka, zwłaszcza to ostatnie, bardzo mu się podobały i przedstawiał się gościom: Maciuś jest indycze jajo, Maciuś jest piegus.

Po pracy wpadało się do Śląskich na pogawędkę, na plotki, snuło się plany i kontrplany. O polityce, oczywiście, ani słowa. Chyba, że między wierszami. Znaliśmy się od niedawna. Za nieodpowiedni dowcip w nieodpowiednim towarzystwie dostawało się rok więzienia w trybie administracyjnym, to znaczy bez sądu, tak jak się dostaje mandat za parkowanie samochodu w niewłaściwym miejscu. Popularne stało się powiedzenie:

Rok nie wyrok, dwa lata jak dla brata.

Skutek tej ostrożności był taki, że poznawszy się, długo nic nie wiedzieliśmy wzajemnie o naszej przeszłości.

Niektóre osobiste sekrety wyszły na jaw w zgoła nieoczekiwanych okolicznościach. Największą fabryką w Elblągu były tzw. Zakłady Mechaniczne produkujące w wielkiej tajemnicy części łodzi podwodnych. Oczywiście całe miasto o tym wiedziało. Krążył

taki dowcip: facet pracował w fabryce wózków dziecięcych. Jego żona była w ciąży, więc po kryjomu wynosił części. Gdy miał już komplet, złożył je i wyszedł mu karabin maszynowy. Otóż Zakłady Mechaniczne potrzebowały lekarza, i to dobrego. Płacili tam więcej niż w służbie zdrowia. Podobno wysunięto i moją kandydaturę, choć zajmowałem się tylko leczeniem dzieci. Milczek coś napomknął o tym. Po dłuższym przebieraniu, oczywiście w tajemnicy, wytypowano doktora Michalskiego, odludka, leczącego głównie dzieci. Sam już po trzydziestce, mieszkał z ciotką o ćwierć wieku starszą, która nie odstępowała go ani na krok. Do miasta wychodzili razem. Zawsze była obecna, nie tylko przy badaniu kobiet, ale nawet gdy matka z dzieckiem znalazła się w gabinecie. Będąc mężczyzną dość przystojnym (choć moim zdaniem bezbarwnym), a do tego tajemniczym, dr Michalski budził ciekawość młodszych pacjentek. Aby go wypróbować, jedna z wielbicielek planowała szybko się rozebrać do naga w jego gabinecie pod nieobecność ciotki. Zwierzyła się z tego swojej przyjaciółce, a ta powtórzyła mnie. Na naukowe zebrania w szpitalu dr Michalski nie przychodził. Mówiono, że ciotka go nie puszczała z obawy, aby nie wpadł w oko jakiejś pielęgniarki lub na odwrót. Za to zjawiał się na najważniejszych „nasiadówkach”, tych na które ściany auli wykładano czerwonym sukniem.

Rozeszły się słuchy, iż wybór Zakładów Mechanicznych padł na doktora Michalskiego, bo on nie miał „garbu”. Teraz dopiero wyszło na jaw, że wszyscy młodzi lekarze z uniwersyteckim stażem byli „garbaci”. Zaczęli się przyznawać: ten był w Armii Krajowej, tamten miał wujka w Anglii, ów krewnego w więzieniu. Jeden z nas, który znalazł się w grupie „odrzutków”, upierał się, że nie ma nic do ukrywania, ale nikogo nie przekonał. Miałem nadzieję, że moją kandydaturę odrzucą. Byłem jednak gotów nie przyjąć oferty, choć byłoby to źle widziane. Gdyby w Zakładach Mechanicznych coś nie wyszło tak jak trzeba przy budowie łodzi podwodnych, szybko znalazłbym się na ławie oskarżonych o sabotaż.

Do grupy młodych lekarzy należał też dr Horst, ginekolog o wyglądzie niemieckiego błazna. Głowa o kształcie bilardowej kuli, a na tle różowej cery jasne brwi i rzęsy jak u albinosa, niebieskie oczy i grube, czerwone wargi. Sam krępy i dość niski, za żonę miał wysoką szatynkę, szczupłą i pokorną, głuchą na jedno ucho po zapaleniu opon mózgowych w dzieciństwie. Nieraz ją poniżał przy gościach, robiąc uwagi na temat jej słuchu i innych niedoborów. Nie tylko miał wygląd błazna, ale także jego talent, a do tego twarz jak z gumy.

Raz, pamiętam, ucałował stopę żony, przybierając przy tym wyraz ekstazy i ubóstwienia. Stopniowo twarz jego przechodziła różne fazy aż do obrzydzenia i szoku, jakby zgryzł pająka między zębami. W czasie wojny Horst pracował w Warszawie u Niemców jako szofer. Często jeździł z nimi do getta. Po paru latach Horst przeniósł się do innego miasta w Prusach Wschodnich, gdzie został dyrektorem małego szpitala. Nie wytrzymał długo na tym stanowisku. Chodziły słuchy, że wieczorami zapraszał kumpli na libacje na strychu szpitala, po czym goście przebrani za lekarzy udawali się na oddział ginekologiczny, gdzie Horst przedstawiał ich jako specjalistów-konsultantów, i badali wybrane pacjentki.

Spośród lekarzy najbardziej chyba przypadł mi do serca Jasio Gruźlik, specjalista od gruźlicy i błazen w jednej osobie. Wszyscy specjalizujący się w dziedzinie gruźlicy, ci których znałem, sami mieli gruźlicę w swoim życiorysie. Gdybym miał przyrównać Jasia do jakiegoś zwierzęcia, byłaby nim małpa. Ludzie, których lubiłem, zwykle mieli coś z małpy. Może małpy są najbardziej ludzkie lub najmniej nieludzkie spośród zwierząt. Do popisowych numerów Jasia należało imitowanie samochodowego klaksonu. Robił to tak dobrze, że zaskoczeni przechodnie podrygiwali ze strachu. Jego żona opowiadała, że gdy się poznali, a był wtedy w podchorążówce, miał zwyczaj „trąbienia” w kinie, ilekroć na ekranie ukazał się samochód. Jasio miał wiele popisowych numerów. Jednym z nich było recytowanie urywków z „Trędowatej” bądź też improwizowanie à la „Trędowata”. Zachował mi się w pamięci jeden fragment:

He, he, he ... zaśmiał się hrabia po francusku.

Na temat moralnych zobowiązań mężczyzn wynikających ze stosunków z kobietami Jasio głosił maksymę: „Towar macany należy do macanta”. Zwróciłem mu uwagę, że biurokratyczne, płaskie, bezbarwne słowo macant rymuje się z: bumelant, arogant, defraudant, spekulant, okupant, aplikant, aspirant, i poradziłem zastąpić macanta macadorem. Macador bowiem kojarzy się z corridą, gdzie piękne kobiety obrzucają kwiatami defilujących przed walką toreadorów.

Moim współzesańcem - przybyliśmy do Elbląga w tym samym czasie - był dr Derken. Wybrał sobie pracę na oddziale zakaźnym, gdzie płacono czterdzieści procent dodatku do pensji. Sam bardzo obrotny, miał za szefa starszego lekarza, doktora Macharskiego, człowieka poczciwego, ale tak bojaźliwego, że niewiele miejsca pozostawało na poczciwość. Macharski unikał podejmowania

ryzykownych decyzji, co pomnożone przez jego ostrożność sprawiało, iż nie podejmował prawie żadnych. Skutek był taki, że częściej zwracano się po radę do asystenta niż do ordynatora. Derken posiadał język jak brzytwa, a głos jego miał coś ze świstu bata. Wyglądem zupełnie różny od Horsta. Kawaler, choć pod czterdziestkę, wysoki, szczupły i śniady, o pociągłej twarzy, czarne włosy gładko ulizane, zaczesane z czoła. Obaj mogliby występować na scenie. Widzowie śmialiby się z błazna Horsta i z tych, których Derken brał na język. Derken nosił okulary w grubej, ciemnej oprawie, przez które jego oczy wyglądały nieforemnie, wydawały się większe niż w rzeczywistości i nie zawsze dało się określić na kogo patrzyły. Szybko wyrobił sobie reputację pieczeniara. Najlepiej to ujęła Basia Śląska mówiąc, że jego specjalnością jest rzut pyskiem do miski. Derken nie miał uznania dla pracowitego Piszczka. Twierdził, że Piszczek najpierw wywiaduje się o diagnozę, a potem do diagnozy dorabia wyniki badań laboratoryjnych, niczego nie badając.

Oddział zakaźny - długi barak podzielony otwieranymi drzwiami na część tyfusową, szkarlatynową i dyfterytową - miał wspólną jadalnię dla ozdowieńców. Z braku personelu te same osoby obsługiwały całość. Izolowano jedynie dorosłych chorych na tyfusy.

Nie dziw więc, że tylko niewiele dzieci opuszczało szpital zaraz po wyleczeniu się z tej choroby, która była powodem ich przyjęcia. Na oddziale endemicznie panowała odra i wietrzna ospa. Dr Derken tak opisywał postępy swych pacjentów: przerobił dyfteryt, przerobił szkarlatynę, przerobił wietrzną ospę, jeśli odry nie dostanie, można go wypisać. Derken wprowadził zwyczaj, że w czasie obchodu badał lub oglądał każdego pacjenta. Dotąd obchody, nie tylko na zakaźnym, ale i na innych oddziałach nieraz tak wyglądały, że lekarz stawał na progu sali, a pielęgniarka referowała mu stan chorych. Zależnie od tego co usłyszał, przepisywał leczenie.

Do pierwszych moich czynności w Elblągu należało znalezienie dachu nad głową. Wynająłem pokój na pierwszym piętrze przy ulicy Kolejowej, głównej arterii miasta. Biegła nią linia tramwajowa, a niedaleko domu, w którym zamieszkałem, stał budynek Urzędu Bezpieczeństwa. Moją gospodynią była samotna kobieta lat pięćdziesięciu. Mąż jej umarł na chorobę nerek, syna jedynaka rozstrzelali Niemcy. Inny pokój zajmowała młoda sublokatorka. Nie zagrzałem tam miejsca zbyt długo. Aby wyjaśnić powody, muszę się cofnąć o wiele lat. Jeszcze w czasie wojny zaprzyjaźniłem się z

Lolkiem. Raz, niby to żartując, umówiliśmy się, że ten kto umrze pierwszy, da drugiemu znak, czy istnieje życie pozagrobowe. Mieliśmy zaledwie po kilkanaście lat, ale o śmierć było łatwo. Lolek przeżył wojnę i powstanie. Dwa lata później zapadł na zapalenie opon mózgowych. Lekarz początkowo postawił złą diagnozę, a gdy postawił dobrą, było już za późno.

Raz, wróciwszy nocą do pokoju przy ulicy Kolejowej, zmęczony pracą zapadłem w głęboki sen. Przyśniło mi się, iż obudziłem się. Unoszę głowę z tapczana i widzę dokoła groby. Podupadły stary cmentarz w szarym świetle jak o zmroku. Nagie gałęzie drzew, krzyże pochylone ku ziemi, groby tu i ówdzie zapadają się. Przychodzi mi na myśl Lolek. Takim był mi przyjacielem, a ja nawet nie wiem, gdzie go pochowano. Nagle wydaje mi się, że duch Lolka krąży w pobliżu ... za moimi plecami. Strach ogarnia mnie coraz większy, staram się obrócić, zerwać z tapczana..., a nie mogę się ruszyć. W tym momencie słyszę kwilenie, coraz głośniejsze, płacz dziecka budzi mnie. Siadam obłany potem. W szparze przy drzwiach na korytarz odbłask światła. Bojąc się ciemności, zapaliłem lampę i tak półdrzemiąc przeczekałem aż do świtu. Rano, zaparzając sobie herbatę, napomknąłem gospodyni, że obudził mnie w nocy płacz dziecka u sąsiadów obok.

- Tam nie ma żadnego dziecka - odparła. - Ja miewam - dodała - straszne sny, zaczynam jęczeć i budzę się pośród okropnego lęku.

Wyciągnąłem z tego wniosek, że jej koszmar nocny wzbudził koszmar we mnie. Jakby jakieś fale elektromagnetyczne przeszły od niej do mnie, wzbudzając rezonans w moim mózgu. Odtąd z obawą kładłem się do snu, zwłaszcza że jeszcze parę razy późnym wieczorem, nim sam poszedłem spać, słyszałem jej jęczenie. Zacząłem rozglądać się za nowym locum.

Kiedyś wracając o północy do mieszkania na Kolejowej, zobaczyłem samochód zaparkowany na pustej, jak tylko oko sięgnęło, ulicy, o sto metrów od mojego domu. Samochód nocą - widok był niezwykły. Mogłaby to być tylko milicja. Przyszło mi do głowy, że może po mnie. Specjalnie zaparkowali daleko, aby nie budzić we mnie podejrzeń. Minałem swój dom nie wchodząc. Idąc zastanawiałem się, co robić. Szybko doszedłem do wniosku, że nie ma się gdzie schować ani dokąd uciekać, i zawróciłem.

Ktoś mi powiedział, że późną nocą UB objeżdża ulice i spisuje mieszkania, w których pali się światło. Celem tej akcji miało być

wykrywanie tych osób, które zamiast spać po dniu pracy, zajmują się czym innym.

Obok na tym samym piętrze mieszkało małżeństwo. Nigdy nie zamieniłem z nimi słowa i chyba nigdy ich nie spotkałem. Czasem z klatki schodowej dobiegał odgłos kroków tych ludzi i trzaśnięcie drzwiami. Za to dobrze poznałem ich psa. Był to kundel - ani mały ani duży, ani czarny ani biały. Trudno było powiedzieć czy mieszkał obok, czy chciał się tam wprowadzić. O różnych porach wieczoru lub nocy pies wracał do domu, siadał przed drzwiami sąsiadów i poszcze kiwał. Albo jego właściciele nie było, albo nie chcieli go wpuścić. Mój pokój przylegał do klatki schodowej i znajdował się blisko drzwi wejściowych. Szczekanie budziło mnie bądź też nie pozwalało zasnąć. Na próżno zatykałem uszy watą lub korkami ugniecionymi z gazety. Pies musiał rozumieć niewłaściwość swojego postępowania, zwykle bowiem, jak tylko otworzyłem drzwi, by go przegonić, nawet bez zachęty z mojej strony umykał w dół schodami, szczerząc zęby, i wypadał na ulicę. Jeśli nie tej samej nocy, można go było oczekiwać następnej. Doprowadzony do ostateczności postanowiłem załatwić ten problem raz na zawsze. Kilkakrotnie pies umknął, ale w końcu udało mi się odciąć mu drogę odwrotu z parteru na ulicę i z piwnicy na podwórze. Na widok młotka o długim trzonku w moim ręku pomknął na parter, a znalazłszy drzwi zamknięte, zbiegł do piwnicy i tu przyparłem go do muru. Wyszczrzył zęby aż do dziąseł, zaparł się w kącie i warczał. Ilekroć wymierzyłem cios, robił błyskawiczny unik, żelazo uderzało w próżnię. Chwytał zębami trzonek. Próbowałem go zmylić, symulując uderzenie. W końcu udało mi się z lekka go zahaczyć. W jego oczach obok wściekłości dojrzałem strach. Zaskomlał. Zrobiło mi się go żal, odważnie walczył. Odszedłem. Otworzyłem drzwi wejściowe i idąc w górę schodami zobaczyłem jak wypadł na ulicę. Minęła godzina czy dwie, gdy na klatce schodowej rozległo się kilka szczęknięć.

Pomyślałem sobie - ja darowałem mu życie, a jemu wydaje się, że zwyciężył. Był to ostatni raz, gdy pies dał znać o sobie. Więcej już go nie zobaczyłem i nie usłyszałem.

Z nadejściem mojej pierwszej jesieni w Elblągu wzrosła liczba chorób zakaźnych, zwłaszcza dyfterytu i zapaleń dróg oddechowych. Ośrodki zdrowia były zawałone kaszlącymi i chrypiącymi dziećmi. O piątej godzinie, kiedy normalnie kończono pracę, poczekalnie wciąż były pełne pacjentów. Potem nieraz jeszcze musiałem wrócić do szpitala. Byłem przemęczony. Przyjechała matka zobaczyć, jak się

urządziłem. Zrobiła kolację. Oddawszy jej tapczan, posłałem sobie na materacu na podłodze. Po paru godzinach obudziłem się z ostrym bólem gardła. Ledwo dowlókszy się do łazienki, zacząłem wymiotować. Tej samej nocy karetka pogotowia zawiozła mnie do szpitala, gdzie zostałem przyjęty na oddział zakaźny z diagnozą dyfterytu, ze spuchniętą wątrobą i ogromnie szybkim pulsem. Płaski elektrokardiogram wskazywał toksyczne uszkodzenie mięśnia sercowego. Leczenie składało się z zastrzyków surowicy i penicyliny.

W tym czasie odwiedził szpital konsultant z Gdańska, prof. Wszelaki, internista i były rektor Akademii Medycznej, znakomity mówca. Cierpiał na astmę. Odznaczał się nieskazitelnymi manierami i pewnie dlatego przezywany był przez niektórych „postępowych” studentów Hrabią Rozedmą. Profesor Wszelaki, zapoznawszy się z moim przypadkiem, nie zgodził się z diagnozą dyfterytu. Uważał, że było to zapalenie migdałków. Gdy po kilkunastu dniach wypisano mnie ze szpitala, daleko mi było do zdrowia. Idąc, musiałem co sto metrów przystawać, serce mi biło nienormalnie szybko. Ku memu zdziwieniu, choć pracowałem w szpitalu zaledwie kilka miesięcy, administracja szpitala i ordynator oddziału zakaźnego, dr Macharski, załatwili mi leczenie w sanatorium w Kudowie i przejazd wagonem sypialnym. Zakrzętnęła się koło tego przede wszystkim Wiera Kohn, bardziej wpływowa niż można by było oczekiwać po osobie na stanowisku przełożonej pielęgniarek.

Sanatorium leżało u stóp wzgórza na terenie łagodnie pofalowanym. Podstawowym zabiegiem leczniczym było wypoczywanie na łożku. Naczelnym lekarz ostrzegł pacjentów, aby nie spali w czasie dnia, bo za każdą godzinę drzemki zapłacą dwiema godzinami bezsenności nocą. Nadarzyła się okazja przeczytać „Wojnę i pokój” Tołstoja. Planowałem to od dawna, ale dopiero teraz po raz pierwszy miałem czasu w bród. I tak udało mi się przegryźć przez cztery tomy. Uważałem za obowiązek wobec siebie samego zaznajomić się z dziełem o światowej sławie i znudzony z ulgą dobiłem do końca. Jedynym fragmentem, który osobiście odczułem, były przeżycia Piotra w płonącej Moskwie.

Po dwóch tygodniach lekarz pozwolił mi na dłuższe spacerowanie. Chodziłem wolniutko ścieżkami wijącymi się wokół wzgórz, nie napotykając człowieka. Czułem oddech zbliżającej się zimy. Śnieg jeszcze nie spadł, ale drzewa i krzewy pokrywał szron. Z dolin wznosiły się i rozwiewały mgły, przeświecało przez nie słońce. Z dnia

na dzień czułem się lepiej. Ustępował lęk, że przyjdzie mi spędzić resztę życia z chorym sercem.

Mój powrót powitano w szpitalu z żywym zadowoleniem. Chcąc nie chcąc, a raczej nie chcąc, musiałem rzucić się w tak zwany wir pracy. Przechodząc przez oddział chorób wewnętrznych natknąłem się na jedną z pielęgniarek z pediatrii, tym razem w szlafroku szpitalnym. Utkwiła mi w pamięci z powodu swej urody. Wysoka, zgrabna, o ciemnych włosach i bladej twarzy. Spytałem o jej zdrowie. - Mam problem z nerkami - odparła. Poszedłem dalej.

Minęły dwa czy trzy dni, gdy gruchnęła wieść, że nie można chorej dobudzić. Ktoś ją zbadał i postawił diagnozę - mocznica. Jedna pogłoska goniła drugą. Jakoby przyjęto ją do szpitala z powodu uszkodzenia nerek przez truciznę, którą celowo zażyła. Od jej koleżanki, z którą mieszkała, dowiedzieliśmy się, że pielęgniarka miała narzeczonego, porucznika-ubowca. Gdy chciała z nim zerwać, porucznik zagroził, że zastrzeli i ją, i siebie. Jeśli chodzi o pogróżki, słowu ubowca można było zaufać.

Wiele osób - przechodząc oddziałem wewnętrznym, rozciągającym się wzdłuż głównego korytarza - zaglądało do pokoju pielęgniarki. Zajrzałem i ja. Pożałowałem, że wcześniej z nią nie porozmawiałem. Internista przy ponownym zbadaniu orzekł, że dziewczyna jest w ciąży. Teraz stało się jasne, na krótko wprawdzie, dlaczego targnęła się na życie. Wezwany na konsultację ginekolog nie potwierdził istnienia ciąży. To, co internista wziął za powiększoną macicę, było przepełnionym pęcherzem moczowym. Coraz to nowe pogłoski obiegały szpital. Mijały godziny wypełnione diagnostycznymi rozważaniami. Stan nieprzytomnej pogarszał się. Na krótko przed jej śmiercią postawiono właściwe rozpoznanie - na oddziale wewnętrznym zniknął prawie cały zapas luminalu. Dochodzenie wykazało, że wieczorem dnia poprzedzającego utratę przytomności chora zaofiarowała przepracowanej koleżance pomoc przy rozprowadzaniu leków, uzyskując w ten sposób dostęp do gablotki z lekarstwami, i niepostrzeżenie wzięła luminal.

Grób trzeba było kopać w zamrzniętej ziemi i pogrzeb opóźnił się, ale nikt z zainteresowanych, a było ich mnóstwo, nie przepuścił okazji. Zwłaszcza ciekawiła wszystkich postać porucznika-ubowca. Poza koleżanką zmarłej nikt go dotąd nie widział. Porucznik nie zawiódł oczekiwania uczestników. Nie tylko zjawił się, i to w mundurze, ale wskoczywszy do grobu położył się na trumnie i zażądał, aby ich razem pochowano. Nie lubię pogrzebów, więc tylko od naocznych

świadków dowiedziałem się o wydarzeniach na cmentarzu. Podobno porucznika wyrzucili z UB czy też zdegradowali, a może przenieśli, w każdym razie nikt już go więcej nie spotkał.

Wkrótce przenieśli się na ulicę Żymierskiego, wynajawszy pokój u pani Katarzyny X, zajmującej razem z siedemnastoletnim synem dość obszerne mieszkanie w jednopiętrowym bloku. Mąż jej, aresztowany przed rokiem, wciąż czekał na rozprawę. Była to bardzo miła kobieta, pełna życia, uczynna. Za rogiem mieszkała jej siostra z dwojgiem małych dzieci. Również i jej męża aresztowano za to, że w czasie wojny służył w polskiej marynarce wojennej w Anglii. Siedział we Wronkach. Od czasu do czasu pozwalano żonie na widzenie z mężem. Wyglądał coraz gorzej. Podejrzewała, że go powoli trują w więzieniu, podobnie jak i innych aresztowanych. Choć nie dostał wyroku śmierci, po każdym widzeniu bała się, że to ostatnie. Leczyłem jej dzieci, oczywiście za darmo.

W tym czasie aresztowano mojego ojca. Pracował w przemyśle drożdżowym i od swojej instytucji otrzymał mieszkanie w odremontowanym na jej koszt, wypalonym domu przy ulicy Kazimierzowskiej, blisko Rakowieckiej. W myśl umowy, przemysł drożdżowy po ukończeniu remontu oddał połowę mieszkań zarządowi miasta, w rzeczywistości UB, a połowę zatrzymał dla swoich pracowników. Był to skarb w zniszczonej Warszawie. Ojciec przesiedział rok bez wyroku, za nic, a właściwie za mieszkanie. Zaraz po aresztowaniu go eksmitowano jego żonę i moją siostrę, a mieszkanie dostał ubowiec. Zwolniono ojca wprost z sali sądowej, ale mieszkania nigdy mu nie zwrócono.

A oto podobna historia. Młodą kobietę, której dwuletniego syna leczyłem, po aresztowaniu jej męża wyrzucono z mieszkania. Zajął je wyższy oficer marynarki wojennej. Popadła w nędzę. Młodsze z jej dwojga dzieci, niemowlę, umarło. Podobnie jak inne kobiety w jej sytuacji na próżno kołatała do bram prokuratury. Po roku czy dwóch zwolniono męża. Pięknego mieszkania we Wrzeszczu oczywiście nie odzyskali.

Właściciele Polski Ludowej, którzy weszli w posiadanie mieszkań w ten sposób, zapewne do dziś, oni albo ich krewni, spożywają owoce swej przestępczej działalności w tamtych latach. Za niemieckiej okupacji też wyrzucano Polaków z mieszkań. Czasem dostawali pół godziny na spakowanie manatków, czasem dwa tygodnie, ale nie wsadzano ich do więzienia za to, że Niemcowi spodobał się ich dom.

Do naszego mieszkania w Warszawie też przychodzili folksdojczycy i inni skierowani przez Vohnungsamt. Codziennie spryskiwaliśmy wodą szczytową ścianę, aż zarosła pleśnią. Ojczym, wskazując na pleśń, tłumaczył nieproszonym gościom, że mieszkanie jest wilgotne. Pomogło. Dotrwaliśmy do samego powstania.

Przyłapano pracownika rządowej instytucji, gdy ukradkiem wynosił portret prezydenta Bolesława Bieruta. Z uwagi, że kradzież ta zawierała pewne elementy akcji politycznej, powiadomiono Urząd Bezpieczeństwa. Podczas rewizji w miejscu zamieszkania owego osobnika znaleziono w piwnicy wiele portretów dostojników państwowych, w których posiadanie wszedł on bezprawnie. Tą działalnością musiał zajmować się od dłuższego czasu, gdyż oprócz portretów dostojników u władzy, znajdowały się tam także portrety tych, którzy już przestali „przewodzić narodowi” i popadli w oficjalne zapomnienie. Dochodzenie wykazało, że osobnik ten, w chwilach wolnych od zajęć schodził do piwnicy udekorowanej portretami, gdzie przy blasku świecy samotnie przesiadywał wiele godzin. Władze policyjne przekazały go oddziałowi psychiatrycznemu w Gdańsku.

Mieszkanie poniżej nas, na parterze, zajmował podpułkownik informacji z żoną i kilkunastoletnim synem. Synalek „zrobił dziecko” swojej gimnazjalnej koleżance. Z bliżej nieznanych powodów młodociana matka nie zatrzymała dziecka i niemowlęciem zajęli się podpułkownikostwo. Nadano mu imiona Włodzimierz Józef, domyśliłem się - po Leninie i Stalinie. W mieszkaniu podpułkownikostwa ściany były gołe. Ani makatki, ani obrazu, ani fotografii rodzinnych. Jedyłą ozdobę stanowił oprawiony w ramkę cytat ze Stalina czy Lenina, a może Marksa. A wiem to stąd, że gdy mały raz zaczął kichać i kaszleć, podpułkownik - zapewne uprzednio zasięgnąwszy języka - poprosił mnie, abym się zajął dzieckiem.

Z powodu dobrej reputacji jako pediatra więcej niż raz znalazłem się w trudnej, jeśli nie niebezpiecznej sytuacji, gdy ważne osobistości domagały się moich usług, oczywiście gratis, dla dobra Polski Ludowej. Raz przybiegł wicedyrektor Milczek z wiadomością, że pierwszy sekretarz partii w Elblągu ma takie zaufanie do mnie, iż chciałby, abym przeświecił jego kilkuletnią córkę. Nie odważyłem się odmówić, chociaż radiolog ze mnie żaden. Pierwszy sekretarz osobiście przywiózł córkę do szpitala. Uderzało jego podobieństwo do Malenkowa - sylwetka, twarz a zwłaszcza identyczna fryzura. Zapewne sam zauważył, że jest podobny i podkreślał to uczesaniem.

Zaraz po śmierci Josifa Stalina, Gieorgij Malenkow w znalazł się na samym szczycie władzy. Wkrótce Malenkowa usunięto z rządu pod zarzutem nieudolności. Następny władca, Nikita Chruszczow, rozpętał akcję uprawy kukurydzy, od Wisły po Kamczatkę, aby zaradzić niedoborowi żywności w sowieckim imperium. Krążył taki dowcip: jak się nazywali władcy Rosji Sowieckiej? - Władymir Mudryj, Josif Groznyj, Gieorgij Nieudałyj, Nikita Kukuruznik.

Podpułkownik miał samochód i kilka razy mnie podwiózł; choć wolałem iść pieszo, nie śmiałem odmówić. Czułem się w jego towarzystwie jak mysz w klatce razem z przyjaznym kotem. Byłem szczególnie ostrożny w swoich wypowiedziach i podpułkownik zapewne to zauważył. Raz wskazał klamkę w samochodzie produkcji radzieckiej mówiąc, że słaby materiał, że się złamała, a mnie się od razu wydało, iż próbuje wy badać moją reakcję, co powiem. A może i próbował. Nie odpowiedzieć - byłoby to towarzysko niezręczne, a może nawet politycznie podejrzane. Wybrałem więc technologiczne wyjaśnienie problemu mówiąc, że widocznie bąbel powietrza dostał się do metalu podczas odlewania klamki.

Pewnego dnia pani Katarzyna zajrzawszy do mojego pokoju, kiwnęła ręką, abym szedł za nią. Zaprowadziwszy mnie do kuchni, dotknęła palcami ust, by zachować ciszę i dała znak, abym przyłożył ucho do otworu powstałego po zdjęciu fajerek. Usłyszałem głosy, nawet niektóre słowa można było odróżnić. Najwidoczniej w kuchni u podpułkownika rozmawiano. Głos niósł się przez krótki komin i rury. Odtąd pani Katarzyna, która nie pracując zawodowo spędzała dużo czasu w domu, często wykorzystywała swe „odkrycie” i podsłuchiwała to i owo. Najciekawiej było, gdy ze wsi przyjechała w odwiedziny matka podpułkownika. Wzięła ona potajemnie prawnuka do kościoła, gdzie został ochrzczony. W kuchni u podpułkownikostwa doszło do głośnej wymiany słów w związku ze chrztem Włodzimierza Józefa. Matka ostrzegała podpułkownika, że Bóg go jeszcze ukarze za komunizm.

Oddziałową została Zosia, rodem z Zakopanego, przysłana do Elbląga z nakazem pracy po ukończeniu dwuletniej szkoły pielęgniarskiej. Była to dla mnie wielka pomoc. Ledwo minęło parę miesięcy od jej przyjazdu, gdy dostała jakiejś wysypki na ciele. Nie wyglądało to na coś zakaźnego, ale aby mieć potwierdzenie mej diagnozy, poprosiłem o konsultację doktora Macharskiego, który po zbadaniu Zosi orzekł, że to może być nietypowa postać szkarlatyny. Wysypka zniknęła po paru dniach bez innych objawów. Jednak skoro

raz padło słowo „szkarlatyna”, w ówczesnej atmosferze podejrzeń i oskarżeń o sabotaż, nie było bezpiecznie zmienić diagnozę po kilkudniowej obserwacji. Niechby tak na oddziale pojawił się świeży przypadek szkarlatyny, co i tak się zdarzało, zaraz by powiedzieli, że to od niej. Zosia więc musiała przebyć sześciotygodniową kwarantannę, nie mogła pracować i pojechała do rodziny. Plułem sobie w brodę, że aby zabezpieczyć się z powodu własnej bojaźliwości, zwróciłem się o wsparcie do bojaźliwego doktora Macharskiego. Powinienem być do Derkena.

Do rozlicznych obowiązków doktora Wiśniewskiego należał nadzór nad domem dziecka. Wkrótce po powrocie z sanatorium - gdy dr Wiśniewski był chory - otrzymałem polecenie od doktora Krajewskiego, dyrektora wojewódzkiego wydziału opieki nad matką i dzieckiem, abym jeszcze tego samego dnia udał się do domu dziecka i natychmiast powiadomił go o wynikach inspekcji. Ostatnio kilkoro dzieci stamtąd przyjęto do szpitala i nie wszystkie przeżyły.

Dom dziecka znajdował się w biedniejszej dzielnicy miasta, tuż przy niewielkim cmentarzu. Tynk już odłupywał się od ścian, obnażając rude cegły. Zapewne mieściła się tu kiedyś kostnica i siedziba grabarza. Któż inny chciałby mieszkać przy cmentarzu z grobami podchodzącymi pod same okna? Kierowniczką domu dziecka, osoba jeszcze dość młoda, korpulentna, o pospolitej twarzy, powitała mnie w kancelarii, gdzie na ścianie wisiał wykres podobny do tych, jakie widywało się w fabrykach, ilustrujących osiągnięcia przemysłowej produkcji. Zaciekawiony przyjrzałem się. Była to krzywa wskazująca procent śmiertelności dzieci. Linia w poprzednim roku pozioma, w ostatnich miesiącach ostro poderwała się ku górze.

Po zapoznaniu się ze sprawami administracyjnymi ruszyłem na obchód. Nie trzeba było być lekarzem, aby postawić diagnozę - fabryka aniołków. Pomijając pokastywanie, uderzała niezwykła cisza, jak na takie zbiorowisko dzieci w wieku od roku do lat trzech. Wiele z nich kiwało się rytmicznie, siedząc w łóżkach. Uwagę zwracał wychudzony chłopczyk, nawet nie trzyletni, a już o twarzy degenerata czy szaleńca. Kiwając się, uderzał tyłem głowy o ścianę, wydając przy tym śpiewny, monotony dźwięk: - uuu-uu, uuu-uu, uuu-uu... Dużo dzieci leżało w łóżkach, w kojcach, zbyt słabe były, aby ustać o własnych siłach. Niektórym obsypanym strupami okręcono ręce bandażem, bo inaczej drapały się do krwi. Wielu ciekło z uszu. Kierowniczka wyjaśniła, że ostatnio przyplątała się odra, wietrzna ospa i biegunka.

Natychmiast po powrocie do szpitala wysłałem telefonogram do doktora Krajewskiego. Mogłem wprawdzie zadzwonić do jego biura w Gdańsku, co byłoby szybciej, ale telefonując nie miałbym dowodu, że go powiadomiłem o sytuacji w domu dziecka.

Wypadki potoczyły się szybko. Około północy rozległo się stukanie do drzwi mieszkania Krajewskiego. Przyszedł milicjant z wezwaniem, aby natychmiast stawił się w wojewódzkim Komitecie partii. Tam już czekało na niego całe gremium. Od razu padło pytanie:

- Towarzyszu Krajewski, co się dzieje w domu dziecka w Elblągu?

Krajewski nic nie wiedział, ponieważ telefonogram nadszedł, gdy nie było go w biurze. Komitet wojewódzki już wiedział. (Gdy po powrocie do szpitala podzieliłem się w dyrekcji swoimi wrażeniami, ktoś zadzwonił do Gdańska). Zebrani w Komitecie Wojewódzkim mieli mój telefonogram w ręku, odczytali go Krajewskiemu, po czym od razu odstawiono go do więzienia. Wyszedł po dwóch tygodniach, chyba pomogła mu przynależność do partii. Potem żartował, że siedział przeze mnie, bo nie zatelefonowałem.

Każdego dnia późnym popołudniem czarny citroen, własność wydziału zdrowia, zawoził mnie do domu dziecka. Razem z pielęgniarką Danusią (świeżo po szkole) robiliśmy obchód. Czasem towarzyszyła nam kierowniczką, jeśli zasiedziała się dłużej w pracy. Badałem dzieci, przepisywałem leczenie, diety. Nim skończyłem, zwykle było już ciemno. Zimą słońce zachodzi wcześnie. Po kolacji większość dzieci, pokiwawszy się w swych łóżkach, zasypiała i tym donośniej rozlegało się zawodzenie: uuu-uu - uuu - uu - uuu - uu.

Podczas gdy wewnątrz domu przycichało, ożywiało się na zewnątrz, na cmentarzu obok. Ponieważ trudno było otrzymać zwolnienie z pracy na pogrzeb za dnia, zwłaszcza kościelny, zmarłych chowano dopiero pod wieczór. Mroczny cmentarz wypełniał się żywymi, rozbłyskiwał światełkami. Dobiegał szmer głosów, słowa modlitwy, czasem płacz. Nie trwało to długo. Cmentarz pustoszał szybko. Pozostawały zapalone świece i mrugały płomykami pośród nocy.

Do Elbląga zaczęły zjeżdżać komisje, inspekcje - samochodami, pociągami - i kierowały swe kroki do szpitala na mój oddział i do domu dziecka. Elbląg stał się oczkiem w głowie organów zdrowia, a wkrótce także i organów zwalczających sabotaż i kontrrewolucję.

Najpierw dostało się miejskiemu wydziałowi zdrowia od miejskiej rady narodowej, potem miejskiej radzie narodowej od miejskiego komitetu partyjnego. Pośród groźnych pomruków coraz to ważniejsze osobistości odwiedzały Elbląg - z Gdańska, z Warszawy. Przyjechała nawet towarzyszka z komitetu centralnego partii. Mówiła pięknie o trosce o człowieka, a ja udając najlepiej jak mogłem, że jej słowa biorę na serio, wyliczałem czego mi brak. Gdy podniosła, że tak młody a już ordynatorem i to na eksponowanej placówce, odrzekłem: - Bonaparte w moim wieku był już generałem.

Zwykle zanim inspekcje zdałyby przekroczyć progi szpitalne, wicedyrektor Milczek, zwany Wickiem - ten podobny do portretu Bieruta -dawał mi znać. Miał jakieś swoje kontakty, choć czasem i jego zaskoczyli. Zanim inspektorzy weszli na oddział, należało ich poinformować o wszystkich brakach i trudnościach, aby im zawczasu wytrącić broń z ręki i zepchnąć do defensywy. Pomóc nie mogli, a zaszkodzić mogli. Ulubioną rolą władz było wykrywanie, pouczanie, oskarżanie i karanie. Dla ochrony własnej skóry należało żądać wszystkiego co potrzebne, także na piśmie, wiedząc, że się nie dostanie. Z dziecięcego inspektorzy szli na oddział zakaźny. Był to stojący na uboczu długi barak, podzielony na część tyfusową, szkarlatynową i dyfterytową. Oprowadzał dr Derken, energiczny i obdarzony talentem do dramatyzacji. Ordynator zwykle wolał się trzymać na uboczu, być może hołdując zasadzie - jak cię nie zobaczą, to cię nie posadzą. Starsi lekarze, wyrosli w Polsce niepodległej, ludzie o pewnej kulturze osobistej, nie wiedzieli, jak się bronić przed tą hołotą.

Już samo wkroczenie na teren zakażony tyfusami, szkarlatyną, dyfterytem, wietrzną ospą i odrą budziło strach w inspektorach. Po inspekcji dr Derken rozśmieszył nas wszystkich demonstrując, jak to inspektorzy oddychali przez zaciśnięte wargi, aby nie wciągnąć do płuc fruujących w powietrzu zarazków. Drzwi usiłowali otwierać, popychając je czubkiem buta, pomimo iż na ich przyjęcie obandażowane klamki świeżo polano roztworem formaliny. Niektórzy z inspektorów zapewne mylili prawdziwą ospę z wietrzną ospą, a wietrzną z wiecznością. Derken celowo mówił zwyczajnie ospa, bez przymiotnika wietrzna, gdy chciał tym nieukom-karierowiczom napędzić więcej strachu. Podkreślał niebezpieczeństwo pracy w otoczeniu nasyconym zarazkami, aby wydębic więcej pieniędzy od rządu. Groza ospy jeszcze nie wygasła w ludzkiej pamięci. U

starszych osób, zwłaszcza pośród wygnańców ze Wschodu, widywało się twarze pokryte dziobami. Sam Stalin był dziobaty.

Już na początku afery w domu dziecka role, doktora Wiśniewskiego i moja, zostały odwrócone. Mnie mianowano ordynatorem, jego moim asystentem. Podzieliłem oddział na połowy i nie mieszałem się do tego, co robił. Zarządziłem tylko, aby kał wszystkich dzieci chorych na biegunkę, a odnosiło się to głównie do niemowląt, posyłać do Gdańska na badania bakteriologiczne. Przyszły zaskakujące wyniki. W wielu przypadkach wyhodowano bakterie mysiego tyfusu. Wywołało to jeszcze większy alarm i zainteresowanie Elblągiem. W tym czasie bowiem odwiedził Polskę radziecki konsultant, lekarz epidemiolog w stopniu generała. Znalazła się nawet wzmianka o tym w prasie, coś na temat współpracy. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się, że gość obrugał naszego ministra zdrowia, Sztachelskiego za to, że w Polsce szerzą się choroby zakaźne. Szykowała się podobno wojna i chodziło o to, aby żołnierze armii radzieckiej w przemarszu przez Polskę na zachód nie padli ofiarą zarazy. Zainteresowanie Elblągiem władz służby zdrowia i władz śledczych, rozpoczęte śmiertelnością w domu dziecka, zataczało coraz szersze kręgi. Aresztowano kierownika miejskiego wydziału zdrowia i doktora Wiśniewskiego. Pierwszego za brak nadzoru, drugiego pod zarzutem sabotażu. Dla pierwszego prokurator żądał dwóch lat więzienia, dla drugiego dwunastu. Dr Wiśniewski miał stanąć przed sądem specjalnym - takie najchętniej skazywały na śmierć i od ich wyroków nie było odwołania.

Nowym kierownikiem wydziału zdrowia został Gruszczyński, barczysty łysawy brodacz. Raz zobaczywszy, trudno go było zapomnieć, zwłaszcza jego twarz pokrytą chropawą skórą. Jedno oko siedziało wyżej, oba patrzyły przenikliwie. Nos też nie tkwił w samym środku pomiędzy oczami. Jakby pod naciskiem potężnej siły, twarz utraciła swą symetrię i przypominała skrzywioną ramę obrazu. Widywało się czasem osobników noszących kozie bródki dla ozdoby. Gruszczyński zapuścił okazałą brodę, aby ukryć szkaradne blizny, które miał po Oświęcimiu. Pod bardzo ogładzonymi manierami wyczuwało się siłę i przebiegłość. Stanowisko kierownika wydziału zdrowia uważano za przedpokój celi więziennej, z uwagi na dysproporcje pomiędzy problemami a środkami. Brodacz był kiedyś przewodniczącym miejskiej rady narodowej, czyli burmistrzem, bodajże pierwszym odkąd zmieniono nazwę Elbing na Elbląg. Nawet i ostatnio, choć bezpartyjny, piastował jakieś ważne stanowisko.

Zapewne tolerowali go tak długo jako wyjątek pośród półanalfabetów. Z wykształcenia miał być chemikiem, choć studiów nie ukończył. Podobno wrogowie wypchnęli go na tę straconą placówkę w Elblągu. Po objęciu nowego stanowiska przyznał się, że nie ma zielonego pojęcia o służbie zdrowia i dodał, że jeśli pójdzie do więzienia, to nie pójdzie sam. Zielonego pojęcia nie miał, ale uczył się szybko.

Nieustanne inspekcje, poza aresztowaniami, przyniosły i pozytywne rezultaty. Przystano do Elbląga kilkanaście pielęgniarek po dwuletniej szkole i więcej po sześciomiesięcznym kursie oraz kilku lekarzy z klinicznym stażem. Zdjęto z ordynatury chorób kobiecych kolegę, który za czasów Franciszka Józefa pijał wino z damskich pantofelków. Jego miejsce zajął specjalista z prawdziwego zdarzenia, dr Hryniewiecki. Posiadał on, jedyny spośród lekarzy, własny samochód. W tym czasie ginekologów, w odróżnieniu od ich kolegów, poznawało się po złotych spinkach do mankietów. Gdy rząd wydał ustawę o legalnym przerywaniu ciąży, ginekolodzy jak jeden mąż zaprotestowali, deklarując się praktykującymi katolikami, którym wiara nie pozwala zabijać dziecka w łonie matki. Rząd, by uniknąć zarzutów, że prześladuje religię, wycofał się na z góry upatrzone pozycje; ustawa na razie nie weszła w życie.

W tym czasie rozpoznano na Wybrzeżu jeden czy kilka przypadków prawdziwej ospy, zapewne przywleczonej z portu. Władze natychmiast podjęły energiczną akcję. Wezwano wszystkich lekarzy do współpracy. Cała ludność Wybrzeża musiała się szczepić. Ja sam zaszczepiłem wielu znajomych, włączając jedną z mistrzyń Polski w jeździe szybkiej na łodzi. Na dworcu w Gdańsku nie wpuszczano do pociągu bez okazania zaświadczenia o zaszczepieniu.

Nadszedł dzień wyborów do komunistycznego parlamentu. Rozlepione po mieście plakaty ozdobione fotografią ministra bezpieczeństwa, Radkiewicza, informowały mieszkańców Elbląga, że jest on naszym kandydatem, jedynym kandydatem. Lokale wyborcze otwierały się chyba o szóstej, a może nawet o piątej rano. Już na godzinę czy dwie, a może jeszcze wcześniej ustawiała się skromna, jeśli chodzi o długość, kolejka składająca się z obywateli i towarzyszy, którzy w ten sposób chcieli publicznie podkreślić ważność wyborów i zadokumentować swe gorące poparcie dla władzy ludowej. Około godziny czwartej po południu wyruszały cywilne patrole, kierując się do domów tych obywateli, którzy jeszcze nie głosowali, aby im przypomnieć na wypadek gdyby zapomnieli.

Tradycyjnie w przeddzień wyborów rzucano więcej towarów na rynek, zwłaszcza żywności. W dniu wyborów, w wybranym z góry miejscu odbywało się coś w rodzaju pikniku czy odpustu. Przygrywała muzyka bądź też chrypiał megafon, można było sobie kupić zakąskę w postaci kiełbasy na gorąco z musztardą, serdelka czy parówkę i popić wodą sodową lub sokiem owocowym. Sprzedaż napojów wysokokowych w dniu wyborów była zabroniona.

W lokalu wyborczym po odszukaniu nazwiska i zaznaczeniu obecności, każdemu wręczano otwartą kopertę zawierającą kartkę z nazwiskiem kandydata. Jedna z urn stała na stole obok komisji wyborczej, druga za kotarą na uboczu. Można było wrzucić kopertę, nie otwierając jej, do urny na oczach komisji bądź też udać się za kotarę i tam albo wrzucić kopertę do urny po sprawdzeniu jej zawartości, albo też skreślić ministra Radkiewicza bądź dopisać, cokolwiek by ślina na język przyniosła. Ostrożność jednak doradzała pominięcie tych dwóch ostatnich możliwości. Krążyły słuchy, że koperty niektórych osób są w jakiś sposób znakowane, pewnie niewidocznym atramentem. Odmowa głosowania groziła nieobliczalnymi konsekwencjami. Większość ludzi przychodziła do lokali wyborczych w drugiej połowie dnia, być może w ten sposób wyrażając swój sprzeciw.

Sam udział w wyborach nie był wystarczającym dowodem lojalności wobec władz. Na kilka tygodni przed wyborami prasa i radio wzywały obywateli do sprawdzania, czy ich nazwiska figurują na liście zarejestrowanych wyborców. Lepiej było pójść i sprawdzić, bowiem zaznaczano, kto sprawdził.

Personalnym wydziału zdrowia został były tokarz. Brakowało mu paru palców u prawej ręki oraz paru zębów na przodzie, i dlatego seplenił. Będąc człowiekiem prostolinijnym, dał się lubić. Od pewnego czasu dr Barański znajdował się „pod obstrzałem” jako nieoficjalny szef służby zdrowia na miasto i powiat. Raz na zebraniu na wyższym szczeblu, miejskim i partyjnym, poświęconym sprawom zdrowia, w toku dyskusji szczerbaty personalny nazwał doktora Barańskiego mordercą dzieci. Barański - dyrektor, doktor i major - nieprzywykły z racji swego stanowiska i rangi do takiego traktowania, zareagował na tę obelgę, rzucając kałamarzem w personalnego. Chybił i kałamarz wyrznął w ścianę nad głową żony przewodniczącego miejskiej rady narodowej, piastującej stanowisko drugiego sekretarza partii. Choć nic na ten temat nie pisano w gazetach, wszyscy o tym wiedzieli. Potwierdzeniem, że to nie plotka,

było ustąpienie Barańskiego z zajmowanych przezeń stanowisk, dyrektora szpitala i ordynatora chirurgii. Na jego miejsce przysłano z Akademii Medycznej doktora Wojewodziaka, doświadczonego chirurga, który swój przydział do Elbląga uważał za tymczasowe zesłanie i wszystkie wolne chwile spędzał w Gdańsku. Ja zaś życie w Polsce Ludowej uważałem za dożywotnie zesłanie i także spędzałem wszystkie wolne chwile w Gdańsku.

Przy swoim asystencie, doktorze Dąbskim, Wojewodziak wyglądał jak waga kogucia obok ciężkiej. Chodził i mówił szybko. Zawsze w pośpiechu. Wyrażał się dobitnie. Aby nie przeciągać niepotrzebnych dialogów często używał słów „gówno” i „czeń”, co stało się jego *mots de personage*. Głos jego, podobnie jak i sylwetka, kontrastował z powolnym, tubalnym głosem doktora Dąbskiego.

W Elblągu znajdował się jeszcze jeden szpital, wojskowy. Nigdy tam nie zaszedłem i na własne oczy nie widziałem, ale mówiono, że jest świetnie wyposażony - pielęgniarek, leków i lekarzy w bród. Łóżek więcej niż w naszym, a świeci pustkami, czekając na wojnę. Kilku młodych lekarzy wojskowych, nie mając czym wypełnić czasu, otrzymało od swego dowódcy pozwolenie na pracę na pół etatu u Wojewodziaka. Nowy ordynator wprowadził ostrą dyscyplinę na oddziale chirurgicznym, zajmującym prawie całą długość szpitala na drugim piętrze. Jednym z przejawów nowego porządku były regularne obchody.

Na czele drobnym krokiem sunął mały, chudy Wojewodziak, tuż za nim masywny dr Dąbski. Za Dąbskim lekarze naszego szpitala i lekarze wojskowi w białych fartuchach narzuconych na mundury. Dalej pielęgniarki, na końcu studenci szkoły felczerskiej. Pośpiech był konieczny, bo oddział liczył około stu pacjentów i nie należało przeciągać obchodu, gdy czekały operacje. Nawet w największej sali nie wszyscy uczestnicy obchodu mogli się zmieścić. Podczas gdy głowa białego węża w postaci ordynatora już wychodziła z sali, ogon jeszcze nawet nie wszedł.

W gabinecie Wojewodziaka raz po raz odbywały się skromne libacje. Młodzi wojskowi chirurdzy celebrowali kolejne postępy w swej karierze, jak: pierwsza operacja wyrostka, pierwsza resekcja żołądka, pierwszy woreczek żółciowy, pierwsze to, pierwsze tamto. A że chirurgów było wielu, i że się dopiero uczyli, więc coraz to nadarzała się okazja wychylić kielicha.

Chirurdzy mieli jeszcze jeden zwyczaj. Nie krępując się obecnością Wojewodziaka, a i on sam, oddawali mocz do zlewu

znajdującego się w jego gabinecie. Powiadali, prawdziwy chirurg szcza do zlewu.

Po objęciu stanowisk ordynatorów przez młodszych lekarzy, wychowanków Akademii Medycznej, wzrosło zapotrzebowanie na badania laboratoryjne. Piszczek, choć się dwoił i troił, nie mógł podołać. Zresztą nowo przybyli nie mieli przekonania do jego umiejętności. Już sam jego wygląd i głos nie budziły zaufania. Przy dużym doświadczeniu miał mało wykształcenia.

Na pomoc szpitalowi przysłano dwie specjalistki po uniwersytecie. Piszę przysłano, albowiem nie słyszało się, by ludzie z wykształceniem dobrowolnie osiedlali się w Elblągu. Jedna z nich - młoda mężatka z dwojgiem dzieci, miła blondynka, była chemiczką. Druga, kobieta-biolog, szeroka w ramionach i biodrach, o zamaszystym kroku, nosiła nakrycie głowy w kształcie turbana z węzłem wielkości małej pięści tuż nad czołem. W chwilach napięcia, a praca w szpitalu obfitowała w takie, ukazywała się pośrodku jej czoła pionowa żyła. Pani w turbanie została kierowniczką laboratorium, a Piszczka zdegradowano do zwykłego laboranta. Przybycie obu pań grono lekarskie powitało z wielkim zadowoleniem. Jak wiadomo, każda róża ma kolce, a tym razem kolce dały znać o sobie bardzo szybko. Laboratorium zaczęło się uskarżać na nadmiar pracy i zwróciło się do lekarzy, aby ograniczyli ilość badań. Apele te nie znalazły zrozumienia.

Jak to - mówiono - przedtem Piszczek sam jeden jakoś dawał sobie radę, a teraz we trójkę nie mogą podołać?

Był to dopiero początek kłopotów. Niektóre wyniki badań laboratoryjnych nie zgadzały się z diagnozami lekarzy. W moczu cukrzyka znaleziono prątki gruźlicy, a w moczu gruźlika cukier. Doprowadzało to do dodatkowych badań i dyskusji, nieraz ostrych, pomiędzy niektórymi lekarzami a obu paniami, które upierały się przy swoim. Zwłaszcza pani w turbanie nie ustępowała i podczas tych rozmów żyła wyskakiwała na jej czole. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby się to przeciągnęło, jako że reputacja laboratorium doznawała coraz to nowych uszczerbków.

Aż tu nagle „wybuchła bomba”. Na tyłach szpitala znajdowała się nieużywana klatka schodowa, powiedziec można - kuchenna. Na parapetach okien, na szybach, na pajęczynach osiadał kurz. Wszystkie drzwi wiodące do klatki były zamknięte i tylko niewielu pracowników posiadało klucze. Byłem jednym z nich, ponieważ klatka przylegała do oddziału dziecięcego. Pewnego dnia pani w

turbanie urządziła zasadzkę. Wieczorem, nikomu nic nie mówiąc, niby to poszła do domu, a w rzeczywistości po ciemku zawróciła do laboratorium, wspinając się ukradkiem „kuchenną” klatką schodową. Gdy czekała w zasadzce, ktoś wkradł się do laboratorium od strony „kuchennych schodów” i rozjaśniając ciemności błękitnym blaskiem latarki zaczął pobrzękiwać probówkami. Zapaliła światło i stanęła oko w oko z Piszczkiem. Złapany na gorącym uczynku, przyznał się, iż od pewnego czasu wymykał się nocą do laboratorium i mieszał zawartość probówek, dosypywał cukru, dolewał kurzego białka. Znając wielu pacjentów, nie robił tego na chybił trafił. Wykazał dużo umiejętności, unikając dzięki temu przez długi czas wykrycia. Z miejsca wyrzucono go z pracy i wkrótce przepadł.

Po aresztowaniu doktora Wiśniewskiego zostałem sam. Trzydzieścioro dwoje ciężko chorych dzieci. Od tyfusu do tężca, od gruźlicy do zatrucia grzybami. A do tego niedobór lekarstw i wyposażenia. Dzienny przydział pieluszek na niemowlę chore na biegunkę wynosił dwanaście sztuk.

Na szczególne okazje spędzano pracowników do ogromnej piętrowej auli, jej ściany wykładano czerwonym suknem. Ile tysięcy pieluch dałoby się wykroić z tego materiału, myślałem. Coraz to brakowało kaftaników, kocyków. Centralne ogrzewanie często zawodziło. Nieraz temperatura na oddziale tak spadała, że pielęgniarki narzucały swetry. Dzieci, jak to dzieci, wciąż się rozkopywały. Trzeba było chodzić w kółko i je przykrywać. Skarżyłem się wicedyrektorowi i intendentowi, że mi pacjenci marzną. Poprawiało się na krótko, na kilka godzin, na dzień. Palacze twierdzili, że nie mają czym palić. Krążyły jednak słuchy, że za oszczędzanie węgla dostawali premie od dyrekcji szpitala.

Do oddziału przylegała mała kuchenka, gdzie przygotowywano mieszanki i jedzenie dla najmłodszych. Każdego rana pielęgniarka szła do magazynu po prowianty oraz wyposażenie i zwykle czegoś nie dostawała. Raz w obecności komisji wspomniałem o braku gęstych grzebieni do wyczesywania wszy. Intendent, ob. K., trochę otyły i trochę łysy, z miejsca rozminął się z prawdą, twierdząc, że grzebieni nigdy nie brakowało, choć poprzedniego dnia ich nie wydał, bo jakoby nie miał w magazynie. Zarządziłem, aby odtąd intendent podpisywał się, kiedykolwiek nie mógł zaspokoić naszego zapotrzebowania. Temu celowi służył specjalny zeszyt z kalką. Zeszyt trzymałem w biurku w gabinecie, odbitki w domu pod dywanem. Raz intendent odmówił podpisania, że czegoś tam

brakowało, wobec tego poleciłem pielęgniarce napisać na zapotrzebowaniu: ob. K. odmówił potwierdzenia, że tego a tego nie ma w magazynie.

Prawdopodobnie w związku z wizytą radzieckiego generała epidemiologa, konsultanta naszego ministra, wydziały zdrowia zabrały się ostro do rejestracji chorób zakaźnych. Każdego dnia, przez szpitalnego gońca, wysyłałem meldunki o nowych przypadkach. Przy jakiejś inspekcji elbląski wydział zdrowia poskarżył się, że rzadko kiedy melduję choroby zakaźne. Albo goniec ich nie doręczał, albo wydział zdrowia je gubił. Odtąd wysyłałem meldunki w potrójnym egzemplarzu i z powrotem otrzymywałem dwie kopie potwierdzone przez urzędnika wydziału zdrowia. Jedną trzymałem w biurku w swoim gabinecie, drugą w mieszkaniu pod dywanem. Z Gdańska zjechała komisja do wydziału zdrowia. Jednym z powodów było, że wydział elbląski nie powiadamiał Gdańska o chorobach zakaźnych, a jeśli powiadamiał, to tylko sporadycznie. Brodacz Gruszczyński wskazał mnie jako winowajcę. Wezwano mnie do sądu. Chodziło o przypadki tyfusu, o których Gdańsk wiedział, otrzymując meldunki wprost z laboratorium. Obroniłem się mówiąc, że mam pokwitowania i że chciałbym, aby obywatel Gruszczyński podał imiennie te przypadki tyfusu, o których jakoby nie zameldowałem. Na takie *dictum* jeden z sędziów (sędziowie byli jednocześnie oskarżycielami czy też oskarżyciele sędziami), zadzwonił do wydziału zdrowia. Brodacz Gruszczyński nie mógł od razu podać nazwisk i obiecał zrobić to później. Wobec tego posiedzenie sądowe przerwano i odłożono do następnej sesji wyjazdowej sądu. I na tym się skończyło. Najwidoczniej bezpartyjny brodacz, usłyszawszy że mam pokwitowania, zląkł się i zatuszował sprawę. Jego poprzednika, choć był partyjny, wsadzono do więzienia, wprawdzie tylko na trzy miesiące. Słowo pomyłka lub niedopatrzenie zniknęło z terminologii sądowej, zastąpiło je słowo - sabotaż.

W rzeczywistości nie miałem pokwitowań na wszystkie meldunki. Gdybym pokazał te, które miałem, brodacz, broniąc własnej skóry, zarzuciłby mi, iż nie meldowałem tych przypadków, na które nie mogłem przedstawić pokwitowań. Jeśli dotąd żywiłem jakiegokolwiek wątpliwości, to sprawa ta przekonała mnie ostatecznie, iż we wszelkich kontaktach z władzami obowiązuje zasada - człowiek człowiekowi wilkiem jest. Udowodnienie swojej niewinności zdawało

się na nic. Należało przekonać oskarżyciela, że jeśli ja utonę, to utonie i on.

Nie wolno było powiedzieć rodzicom, że czegoś brakuje na oddziale. Oczywiście sami widzieli, że nie ma dość pieluch, koszul etc. Ofiarowywali własne, które nieraz, wbrew przepisom, przyjmowaliśmy. Jeden pokój był przeznaczony dla karmiących matek. Przychodziły kilka razy dziennie, przewijały niemowlęta we własne pieluszki. Wkrótce wykryliśmy, że niektóre dokarmiały dzieci na swój sposób, a nawet próbowały leczyć, szkodząc nieraz ich zdrowiu.

W czasie odwiedzin, w oznaczonych godzinach, rodzice mogli oglądać swe dzieci przez szybę. Pielęgniarki powiadomiły mnie, że jedna z matek nie ma mleka w piersi, a tylko udaje, że karmi swe niemowlę, aby korzystać z przywileju częstych odwiedzin. Gdy przyszła następnym razem, nie podano jej dziecka, za to ja wszedłem do pokoju dla karmiących, siadłem naprzeciw niej i wyjaśniłem, dlaczego skasowano jej widzenia z dzieckiem. Wtedy oburzona kobieta, nie wypowiedziawszy jednego słowa, obnażyła swą pierś, objęła ją obu rękoma, ścisnęła i opryskała mnie mlekiem.

Nowo przyjętych pacjentów najpierw się kąpało, a potem wyczesywało gęstym grzebieniem wszy oraz przyklejone do włosów gnidy. W przypadku zaawansowanej wszawicy nawet brwi wyglądały jakby przyprószone ziarnkami szarego maku. Czasem trafił się i kołtun zwany dawniej *plica polonica*. Zdaniem rodziców miał on chronić dziecko przed chorobami i urokiem. Aby usunąć kołtun, trzeba było go najpierw zmiękczyć kompresami z oleju. Do znachorskich zabiegów leczniczych należało tzw. przymierzanie. Polegało ono na maksymalnym zbliżeniu i dotknięciu prawego łokcia z lewym kolaniem i prawego kolana z lewym łokciem. Osoba dorosła mogła to zrobić bez trudu, ale nie niemowlę. Nieraz przymierzanie kończyło się uszkodzeniem kręgosłupa. Przesądów krążyło w bród. Plastrami słoniny okładano chore płuca, kompresami z zsiadłego mleka - obolały brzuch, ścierkami zamoczonymi w nafcie - głowę.

Niektóre dzieci przebywały na oddziale miesiącami. Jedno z nich dobrze zapamiętałem. Był to chłopiec o nazwisku Pędzik. Imię zapomniałem. Liczył sobie niecały rok, gdy go otrzymałem w spadku po doktorze Wiśniewskim. Chory na gruźlicę, miał połowę jednego płuca zaciemnioną, bez powietrza. Do tego, już na oddziale, nabawił się tyfusu mysiego. Leczyłem go streptomycyną. Pędzik zwalczył tyfus, ale płuco nie poprawiło się. Po kilku miesiącach stał się

najstarszym rezydentem oddziału. Przebywał na ogólnej sali, gdzie znajdowało się sześć łóżek. Gdy nabrał dość sił, by ustać na własnych nóżkach, zaczął zabawiać się potrząsając swym metalowym łóżkiem, zapewne z nudów. Musiał zauważyć, że przy potrząsaniu łóżko posuwa się odrobinę po podłodze i poszedł po rozum do swej małej głowy. Wkrótce tak udoskonalił technikę potrząsania, że w ciągu kilkunastu minut, jeżeli nie prędezej, potrafił przejechać na drugą stronę sali. Coraz to trzeba było go zawracać. Celem tych wycieczek było nawiązanie kontaktu z innymi dziećmi. Przycumowywał swoje łóżko do łóżka sąsiada i razem bawili się.

Dzieciom, które umiały posługiwać się łyżką dawano posiłki na talerzu do łóżka. Jeśli same nie zjadły wszystkiego, to dokarmiła je potem pielęgniarka. Wyleczony z tyfusu Pędzik nabrał takiego apetytu, że zjadłszy szybko swoją porcję podjeżdżał do łóżek sąsiadów i zabierał im jedzenie, nawet jeśli byli więksi od niego. Inne dzieci uczyły się techniki potrząsania od Pędzika i spotykały się na środku sali. Żadne jednak nie dorównywało mu szybkością. Po kilku miesiącach chore płuco wypełniło się powietrzem i Pędzika zabrała uradowana matka.

Raz dwie siostry, Cyganki, zostały przyjęte z powodu biegunki. Młodsza od razu umarła. U starszej we krwi wyhodowano bakterie tyfusu brzuszego, a później z kału - tyfusu mysiego. Tym ostatnim zapewne zaraziła się na oddziale. Cały klan cygański biwakował obok szpitala. Wicedyrektor Milczek obawiał się, iż może dojść do niepokoju, gdyby i ta starsza siostra umarła. Dziewczynka leczona chloromycetyną wyzdrowiała. Pośród wielkiej radości Cyganów zwróciliśmy ją rodzicom. Dostałem kurę, jeszcze w czasie leczenia lub już po wyzdrowieniu, a może nawet dwie.

W soboty często jeździłem do Gdańska, zachodziłem do kliniki pediatrycznej, aby utrzymać kontakt. Profesor Brokman był konsultantem oddziału w Elblągu i odwiedzał nas osobiście bądź też przysyłał jednego ze starszych asystentów. Dzięki jego interwencji otrzymałem przydział streptomycyny, chloromycetyny i aureomycyny zachodniej produkcji, którymi nie dysponował żaden oddział pediatryczny w województwie poza Akademią Medyczną i szpitalem UB dla uprzywilejowanych.

Epidemia biegunki nie opadała. W pierwszym roku mojej ordynatury umarło na oddziale niemal trzysta dzieci. Władze skrytykowały mnie, iż od czasu jak przejąłem oddział, śmiertelność wzrosła. Broniłem się wskazując, iż mój poprzednik pozwalał, a

nawet doradzał zabierać konające dzieci do domu. Brokman poparł mnie swoim autorytetem. Niemowlęta najczęściej umierały, jeśli biegunce, nawet bez odwodnienia, towarzyszyły objawy neurologiczne. Niektóre szybko zapadały jakby w letarg, z którego już się nie budziły. Mając ograniczony zapas chloromycetyny, mogłem dać to lekarstwo tylko niewielu spośród tych dzieci, które jej potrzebowały. A był to jedyny skuteczny antybiotyk. Gdy byłem przekonany, że dziecko i tak umrze, nie dawałem mu chloromycetyny, aby zaoszczędzić lek dla tych, które miały większe szansę przeżycia. Czasami w ciągu jednej nocy mieliśmy kilka zgonów. Rodzice, zwykle matki, od samego rana stali przed wejściem na oddział, czekając na informacje o stanie zdrowia ich dzieci. Nieraz pielęgniarki nie miały odwagi wyjść na korytarz i powiadomić o śmierci. Odwlekały do mojego przyjscia. Sądzę, że osobiste doświadczenia w czasie powstania zahartowały mnie do roli zwiastuna nieszczęścia. Robiłem to tak dobrze, że nieraz jedyną reakcją było słowo: dziękuję.

Umarł kilkumiesięczny synek dziewiętnastoletniej, niezamężnej dziewczyny. Przyszła dowiedzieć się o stan zdrowia dziecka razem ze swoją matką. Ta usłyszawszy o śmierci wnuka rzekła do córki:

- Ja już dawno wiedziałam, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Przypomniało mi to podobną scenę sprzed dziesięciu lat. Córka państwa R., przyjaciół moich rodziców, Basia, zakochała się w młodym człowieku i wbrew woli matki, po wielkich awanturach, wyszła za niego za mąż. Nim rok upłynął urodziło się dziecko. Ojciec Basi był dobrze sytuowanym farmaceutą, zaś jej mąż, niewykształcony chłopak, latem utrzymywał się wynajmując łódki w przystani na praskim brzegu Wisły. Pewnego dnia na Wale Miedzeszyńskim zatrzymało się auto i wyskoczyli z niego gestapowcy. Obstawili przystań i kazali wszystkim mężczyznom ustawić się w szeregu, po czym strzelili do jednego z nich. Mąż Basi, najwidoczniej sądząc, że gestapowcy rozwalą ich wszystkich, rzucił się na Niemców z gołymi rękami. Zastrzelili i jego, zaś pozostałym dali spokój. Obu zabitych kazali zakopać na plaży. W kilka miesięcy po tych wypadkach, moja matka i ja odwiedziliśmy państwa R. Basia wydawała się być w pół martwa, siedziała bez ruchu, nie odzywała się. W toku rozmowy jej matka wypowiedziała słowa, które utkwily mi w pamięci, choć miałem tylko siedemnaście lat:

- Ja już dawno wiedziałam, że z tego małżeństwa nic dobrego nie wyniknie.

Syn doktora Śląskiego został przyjęty na oddział. Choć byłem przekonany, że uda mi się wyleczyć go bez użycia chloromycetyny, dałem mu to lekarstwo, którego poza moim oddziałem nikt nie miał w szpitalu, i którego nie można było kupić. Nigdy przedtem nie przypuszczałem, że jako lekarz będę musiał decydować, kto ma żyć, a kto nie.

Namówiłem doktora Lachowicza, bakteriologa z Państwowego Zakładu Higieny w Gdańsku, do wykonywania odczynu Widala u niemowląt chorych na biegunkę. Odczyn Widala polega na tym, że do rozcieńczonej (1:50, 1:100, 1:200...) surowicy krwi pacjenta dodaje się zawiesinę bakterii tyfusu brzuszego. Jeśli pacjent jest chory na tyfus, przeciwciała znajdujące się w jego surowicy powodują zlepianie się bakterii. U niemowląt odczyn Widala wykonywaliśmy, dodając zawiesinę bakterii tyfusu mysiego do rozcieńczonej surowicy (1:10, 1:20, 1:40...). Nikt tego dotąd nie robił. Prof. Brokman bardzo się tym projektem zainteresował. Zaczęły przychodzić dodatnie wyniki. Opublikowaliśmy nasze spostrzeżenia w lekarskich czasopismach.

Z Ministerstwa Zdrowia przyszło polecenie złożenia raportu z ilości kroplówek, transfuzji krwi i punkcji lędźwiowych wykonanych w poprzednim roku. By sprostać temu zadaniu musiałbym zaprzestać pracy, wydobyć setki historii chorób i wertować strona za stroną. Załatwiłem to więc inaczej. Policzywszy ilość wykonanych zabiegów w ciągu ostatnich dwóch tygodni, pomnożyłem przez dwadzieścia sześć i dodałem dwadzieścia procent. Wysłałem sprawozdanie, zachowując sobie kopię. Następnego roku, w odpowiedzi na takie samo pismo, po prostu dodałem trochę do liczb z poprzedniego roku, aby wyglądało, że wydajność zwiększyła się. Nazywało się to metodą sufitową. Człowiek spoglądał na sufit, szukając tam natchnienia i pisał sprawozdanie. Zajmowało to kilka minut. Nie należało odpowiadać od razu. Taka gorliwość urzędnikom ministerstwa mogłaby się wydawać podejrzaną. Trzeba było zaczekać do pierwszego ponaglenia. Odkładanie odpowiedzi aż do drugiego ponaglenia było niepotrzebnym przeciąganiem struny. Należało unikać wychylania się w którąkolwiek stronę.

Opieka nad dziećmi powoli poprawiała się. Ministerstwo zaczęło dosyłać lekarzy, młode kobiety, które chciały się specjalizować w pediatrii. Pracowały w żłobkach, w ośrodkach zdrowia i na pół bądź ćwierć etatu w szpitalu. Z koleżanką zajmującą się noworodkami było nas siedmioro. Najcenniejszym nabytkiem

okazała się dr Krysia. Miała już za sobą spory staż w pediatrii, głowę na karku i mogła mnie zastąpić. Z pielęgniarkami też polepszyło się trochę. Przydzielono kilka młodych dziewcząt po sześciomiesięcznym kursie. Chyba nikt z personelu nie liczył sobie trzydziestu lat.

Coraz to wykrywałem niedokładności. Dzieci nie otrzymywały lekarstw i diety tak jak było przepisane. Poświęcałem dużo czasu, aby dojść do osoby, która popełniła błąd. Wymagało to uciążliwego wertowania różnych notatek i gryzmołów i przypominało przebijanie się przez gąszcz kolczastych pnączy, ale w końcu dało rezultat. Przekonałem załogę oddziału, że nie ustane, aż odnajdę winowajcę, a raczej winowajczynię, bo poza mną żaden mężczyzna nie pracował na pediatrii. Ustanowiłem zasadę, że jeśli poinformowano mnie zawczasu o błędzie, nie było żadnych konsekwencji. Dzięki temu, po jakimś czasie, gdy wszyscy do tego przywykli, wiedziałem co się dzieje na oddziale, nawet gdy mnie tam nie było. W miarę moich ograniczonych możliwości robiłem pielęgniarkom drobne ułatwienia w sprawie urlopów, wolnych dni, dyżurów, bez względu na jakość ich pracy. Udało mi się uzyskać dwudziestoprocentowy dodatek zakaźny dla pracowników oddziału dziecięcego, gdyż udowodniłem, że połowa naszych pacjentów jest chora na gruźlicę i biegunkę. Dzięki temu pielęgniarki wolały pracować u mnie i mogłem wybierać te lepsze.

Największą karą dla tych, co nie spisały się dobrze, było posłanie winowajczyni do Wiery Kohn, przełożonej pielęgniarek. Bały się jej, choć nigdy nie podnosiła głosu. Byłem z nią w dobrych, choć ostrożnych stosunkach. Gdyby ktoś spośród znanych mi osób miał zagrać rolę Katarzyny Wielkiej w nieco zaawansowanym wieku, Wierę Kohn bym wytypował. Dość wysoka i nieco otyła, poruszała się z taką godnością, że nawet czepek pasował do jej głowy jak korona. Na jej biurku, zamiast przycisku, zawsze leżał oprawiony w twardą okładkę „Krótki kurs historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików)”, nieoficjalnego autorstwa Stalina. Jak sama oświadczyła, była kandydatem na członka partii. Przez swe towarzyskie powiązania i zapewne dzięki inteligencji, należała chyba do klikki trzęsącej miastem, a jeśli nie należała, to ocierała się o tych, którzy trzęśli. Nieraz ucieliśmy sobie pogawędkę na temat kultury i sztuki, obchodząc z dala wszystko, cokolwiek mogłoby nawet pośrednio zawadzać o politykę. Malarstwo wydawało się być bezpieczniejszym tematem od literatury, bardziej neutralnym, choć

nie tak neutralnym jak szachy, chyba żeby dyskusja zeszła na współczesne malarstwo radzieckie z portretami Stalina na czele. W szufladzie biurka trzymała kolorową reprodukcję obrazu Ajwazowskiego „Dziewiąta fala”, przedstawiającego rozbitków uczepionych zwalonego czerwonego masztu pośród zielonkawych fal wzburzonego morza. Z kolei ja wspomniałem Wereszczagina i Repina, aby dać do zrozumienia, że nie są mi obce osiągnięcia rosyjskiej kultury. Ani od innych, ani z własnych ust Wiery Kohn nigdy nie usłyszałem jednego słowa o jej przeszłości, jakby jej nie miała, jakby jej życie zaczęło się w Elblągu. Nasze rozmowy nie ograniczały się do tematów zawodowych i kulturalnych. Kiedyś namawiała mnie, abym zajął się żoną jednego z kolegów, której mąż był znacznie od niej starszy.

- To bardzo miła kobieta - zachęcała mnie przełożona pielęgniarek - potrzebuje wytarzać się w łóżku z młodym mężczyzną.

Raz wróciwszy z wakacji zastałem mętlik na moim oddziale. Najlepsze pielęgniarki zostały przeniesione gdzie indziej i zastąpione gorszymi. Poszedłem do przełożonej z awanturą. Odzyskałem dobre pielęgniarki, ale stosunki ochłodziły na zawsze. Zresztą niewiele zależało mi na jej poparciu. Gwiazda Wiery Kohn już zaszła po zmianach personalnych w szpitalu i w zarządzie miasta.

Z nastaniem zimy, z okien pociągu pomiędzy Elblągiem a Tczewem, widać było uprawne pola, z których jeszcze nie zebrano plonów. Jesienią władze organizowały akcje wykopkowe. W niedzielę jechało się do okolicznych PGR-ów wykopywać kartofle, buraki i cokolwiek znajdowało się w ziemi i nadawało się do jedzenia. Zespół wykopkowy powstał także na terenie szpitala. Po sześciu dniach pracy nikomu nie chciało się grzebać w ziemi, ale niebezpiecznie było odmówić. Typowano lekarzy, a nawet chirurgów, którzy protestowali, mówiąc, że jeśli skaleczą sobie rękę, to zainfekują pacjentów. Czasem brakowało gumowych rękawiczek i chirurdzy musieli używać jedwabnych, nie wiadomo przez kogo produkowanych i po co. Mnie nigdy nie wytypowano na te wykopki, których wyniki były mizerne. Brakowało narzędzi, transport nie dopisywał, deszcz padał. Uczestnicy zbytnio się nie wysilali. Zapewne rezultaty byłyby lepsze, gdyby ludziom pozwolono zabrać to, co wykopali. Sami by pojechali bez przymusu, a tak to wszystko gniło na polach.

Brodacz Gruszczyński, który albo nabrał do mnie zaufania, albo po prostu był odważniejszy, bądź też mniej ostrożny niż sądziłem,

opowiedział mi o następującym wydarzeniu. Raz musiał powziąć decyzję w jakiejś sprawie leżącej poza zasięgiem jego władzy. Poszedł do przewodniczącego miejskiej rady narodowej i obaj postanowili poradzić się pierwszego sekretarza partii. W czasie audiencji obaj stali, a pierwszy sekretarz, ten podobny do Malenkowa, siedział. W tej samej sprawie musieli zasięgnąć opinii szefa UB. Szef siedział, a brodac i sekretarz stali.

Kilka, jeśli nie kilkanaście razy do roku, z okazji rocznic ważnych w historii Związku Radzieckiego, Polski Ludowej i międzynarodowego ruchu robotniczego oraz z okazji czynów produkcyjnych, spędzano pracowników służby zdrowia do szpitalnej auli na masówki popularnie zwane nasiadówkami. W prezydium zasiadali partyjni dygnitarze, miejscowi i przybyli z Gdańska. Zaczynało się od składania hołdu Stalinowi i wystawiania przyjaźni polsko-radzieckiej. Gadulstwo ciągnęło się godzinami w auli coraz mroczniejszej od dymu papierosów. Do obowiązku zebranych pracowników należało żywiołowe i zamaszyste klaskanie w odpowiednich momentach, na co prezydium, zależnie od okoliczności, także nieraz odpowiadało klaskaniem. Widownia i prezydium klaskały razem, kiedykolwiek wyrażano wdzięczność lub poparcie Stalinowi i Związkowi Radzieckiemu. Sam Stalin, tylekroć widziany na ekranach, zasiadający pośrodku prezydium w składzie politbiura, tylko powściągliwie z lekka przyklaskiwał, zaledwie poruszając rękami w przegubie, podczas gdy widownia żywiołowo go oklaskiwała. Styl jego klaskania przejęło polskie politbiuro, od politbiura partyjne komitety wojewódzkie, od nich miejskie. Doszło do tego, że wszystkie prezydiuma nawet te na najniższym szczeblu władzy, w czasie masówek klaskały à la Stalin.

W czasie weekendów Elbląg dostarczał niewiele rozrywek. Można było pójść do kina, do baru bądź udzielać się towarzysko, spotykając z osobami, z którymi się pracowało. Latem było lepiej. Każdej niedzieli rano płynął statek do Krynicy Morskiej. Teren na północ od miasta był słabo zaludniony, częściowo z powodu wojennych zniszczeń. W lutym 1945 roku Rosjanie dotarli do morza odcinając znaczne niemieckie siły w rejonie Elbląga, na wschód od Wisły. Jedyna droga odwrotu na mierzeję, wiodła przez zamarznięty Zalew Wiślany. Podobno pod cofającą się nocą niemiecką zmotoryzowaną dywizją załamał się lód. Rybacy pracujący na zalewie powiadali, że czasem, gdy wiatr ustanie i gdy powierzchnia wody nie marszczy fale, w słoneczny dzień widać pojazdy na

piaszczystym dnie. Szoferzy jeszcze siedzą za kierownicami, tak jak ich śmierć zaskoczyła.

Zwykle w sobotę wczesnym popołudniem, po pracy, wyrwałem się do Gdańska, gdzie z najbliższą rodziną i z przyjaciółmi mogłem rozmawiać bez samocenzury. Jechało się z przesiadką w Malborku. Trzy kwadransy pomiędzy pociągami wystarczały na odwiedzenie krzyżackiego zamku. Nikt się nim nie interesował, ani żywego ducha pośród murów i chwastów. Zawsze tam zachodziłem, chyba że deszcz padał. Poza porami roku nic się tu nie zmieniało. Ten sam most zwodzony nad pustą fosą. Kamienni wielcy mistrzowie nieruchomo wpatrzeni w ruiny swego zamku. Raz ich obrastały zielska i polne kwiaty, to znowu obsypywał ich śnieg osiadając na ramionach i głowach, na kształt białych epoletów i białych hełmów.

W parterowym budynku w pobliżu szpitala mieściła się stacja pogotowia ratunkowego. Stąd karetki wyjeżdżały na miasto i tu zwoziły chorych. Na jednej sali badano pacjentów i udzielano pierwszej pomocy, druga sala służyła za punkt rekreacyjny załogi pogotowia w chwilach wolnych od zajęć. Grano tam w szachy, w karty, w warcaby. Wymieniano nowiny i plotki. Ponieważ nic ciekawego nie działo się w mieście, wielu pracowników szpitala po wypełnieniu swych regularnych obowiązków, odpocząwszy w domu, zachodziło do pogotowia, aby się rozerwać, pogadać. Czynności rekreacyjne przerywano, gdy tylko karetka przywiozła interesujący przypadek. Wówczas całe towarzystwo przechodziło z sali rekreacyjnej na salę, gdzie badano i leczono, aby po zaspokojeniu swojej ciekawości powrócić do poprzednich zajęć. Dla osób otrząskanych z chorobami i ludzkim nieszczęściem, interesujący znaczyło tyle co tragiczny - ktoś wpadł pod koła, ktoś zwariował i rozebrał się do naga. Wobec braku lekarzy pogotowia zatrudniano nawet takich, którzy już dawno powinni byli przejść na emeryturę. Jeden z nich, dr Wąsowski, krępy, niski, o szpakowatych włosach przyciętych na języka, liczył sobie dziewięćdziesiąt lat. Nawet nie bardzo pochylony, poruszał się energicznie jak na swój wiek, ręce trzymając zwykle splecione za plecami, a wzrok wbity w ziemię. Skupiony, rzadko kiedy wymieniał kilka słów ze współpracownikami i dlatego byłem zaskoczony, gdy raz zagadnął mnie na temat genealogii, czym się bardzo interesował. Oświadczył, iż przestudiował mój rodowód i odkrył, że Kurdwanowscy wywodzą się

z gór Kaukazu, z plemienia Kurdów. Nie zaprzeczyłem temu, a nawet dodałem, iż mam kuzyna nazwiskiem Godiaszwili.

Dr Wąsowski jeździł karetką pogotowia do domów. Albo wzrok mu nie dopisywał, albo jakieś inne były tego przyczyny, dość że prawie zawsze widział u chorego czerwone gardło i stawiał diagnozę - zapalenie migdałków. Dr Derken demonstrował, jak to sanitariusze stojący za plecami Wąsowskiego dawali znaki pacjentowi i jego rodzinie, aby nie brali poważnie tego, co doktor mówił. Młodszy od Wąsowskiego dr Gieschke, ledwo po osiemdziesiątce, też jeszcze pracował, aby, jak sam powiedział, nie umrzeć z głodu na emeryturze. Z urodzenia gdańszczanin, kiedyś był asystentem w Berlinie u sławnego profesora, cytował znane nazwiska. Wysoki, chudy, siwy, o krzaczastych, nawisłych brwiach. Czas bardziej wyrzeźbił jego twarz niż starszego Wąsowskiego. Gdy byłem dzieckiem, w naszym mieszkaniu wisiał obraz przedstawiający mężczyznę stojącego na pokładzie żaglowca nocą, przy pełni księżyca. Gdy usiłuję przypomnieć sobie doktora Gieschke, ukazuje mi się ta postać na pokładzie Latającego Holendra.

Najmłodszym nabytkiem w pogotowiu był dr Frol. Znałem go z wojska, z niedawnego pobytu w centrum wyszkolenia sanitarnego w Łodzi, gdzie wyszło na jaw, że donosił na kolegów. Chudy jak patyk, jadł za czterech i ciągle był głodny, jakby miał tuzin tasiemców. Ilekroć mnie zobaczył, bardzo był wylewny. Ja także udawałem. Dr Horst ubawił wszystkich, opowiadając jak to Frol skierował raz do szpitala pacjentkę w ciąży z diagnozą *GRAVIDITAS EXTRAUTERINA, BILATERALIS PRECIPUE DEXTRA* (ciąża pozamaciczna, obustronna, głównie po prawej stronie). Raz jeden z felczerów, a wielu z nich pracowało w pogotowiu, chcąc się popisać znajomością łaciny, postawił następującą diagnozę pacjentowi, który wypadł z tramwaju w biegu, doznając licznych obrażeń: *PROLAPSUS EX VEHICULO ELECTRICO*.

Szpital stracił jednego z młodych chirurgów wojskowych. Spieszyło mu się, więc aby nie tracić czasu skorzystał z okazji, że przewożono aresztantów karetką więzienną. W szoferce nie było wolnego miejsca, więc siadł sobie razem z więźniami. Po drodze karetka zderzyła się z innym pojazdem i benzyna eksplodowała. Drzwi od pomieszczenia w tyle podobno zacięły się, w każdym razie nie otworzono ich na czas i wszyscy spalili się żywcem z wyjątkiem dwóch ludzi w szoferce.

Do rozrywek, zwłaszcza zimą, należało grupowe spożywanie napojów wysokowych, bądź też na omawianiu plotek o tym co się działo w czasie tych towarzyskich zebrań. Latem otworem stały korty tenisowe i przyległy stadion, gdzie można było pograć, popatrzeć i porozmawiać. Pośród grona tenisistów, do którego należałem, dawałoby się wyodrębnić dwie kategorie. Do pierwszej, lepszej, należało dwóch graczy, do drugiej reszta. Kryterium podziału była umiejętność serwowania. W kategorii drugiej znaleźli się ci, którzy serwując plasowali piłkę nie tam gdzie trzeba, tracili punkty i przegrywali gema. Przywilej serwowania obracał się na ich niekorzyść. Słyszało się nieraz na korcie:

- Proszę bardzo, niech pani pierwsza serwuje.
- Dziękuję bardzo, niech pan serwuje.

Nikt się nie pchał do serwowania. Do kategorii pierwszej należało dwóch graczy o krańcowo odmiennych sylwetkach. Młodszy, dwudziestoletni, smukły, wysoki, w talii wąski jak osa, nieśmiały szatyn, migał po korcie jak żywe srebro. Drugi pod czterdziestkę, gruby, masywny jak blok granitu, o zarysach prostokąta, ważący dobrze powyżej stu kilo, poruszał się z trudem, bez pośpiechu i nigdy nie poderwał do biegu. Obaj odbijali się od większości swym strojem - ubrani odpowiednio do okazji, na nogach tenisówki. Noszenie sportowego obuwia o twardych obcasach i podszewkach było zabronione (choć nie zawsze tego przestrzegano), bowiem wybijały one dziury w gładkiej powierzchni kortu. W czasie mistrzostw Elbląga obaj panowie z kategorii pierwszej z łatwością doszli do finału. Grubas wygrał pierwszego seta, ale dostał zadyszki. Pomimo iż poruszał się powoli, zwykle znajdował się we właściwym miejscu, tam gdzie piłka padła, jakby z góry wiedział, gdzie padnie. Drugiego seta, bardzo sprytnie, oddał prawie bez walki. Wypoczął sobie. Wygrał trzeciego seta i mecz. W Elblągu, w przeciwieństwie do innych turniejów, w kategorii męskiej grało się tylko do trzech setów. Pośród tenisistów kręcił się chłopak bez zawodu, przyjazny, za bardzo przyjazny. Raz przyszedł w nowym garniturze, którego i ja bym chyba nie mógł sobie zafundować. Zacząłem podejrzewać go o szpiegowanie. Jakiś czas potem, starszy facet, instruktor, który często przychodził na stadion -znałem go tylko powierzchownie - wskazując oczyma chłopaka, szepnął do mnie: UB.

Elbląg zasłynął w kraju nie tylko tyfusem mysim. Mieliśmy dwie krajowe mistrzynie w jeździe szybkiej na lodzie, obie imieniem Lusja. Jedna z nich wyszła za mąż za tenisowego wicemistrza miasta.

Każdej niedzieli latem można było popłynąć parostatkiem dawnym hanzeatyckim szlakiem do Krynicy Morskiej i tam wytarzać się na wydmach złocistego piasku i wypluskać w półstonej wodzie. Bałtyk jest wprawdzie małym morzem, ale gdy silny wiatr zawieje, powstają fale groźniejsze niż na Atlantyku, może nie tak wysokie, ale za to krótkie. Jedna drugą goni. Jedna cię uderzy, nim się otrząchniesz, druga już na tobie siedzi.

Pewnego poniedziałku cały szpital rozbrzmiewał rozmowami o strasznej tragedii. A było to tak:

Małżeństwo zamieszkałe w Elblągu miało trzy córki. Dwie starsze, studentki uniwersytetu w centralnej Polsce przyjechały do rodziców na letnie wakacje. W niedzielę cała rodzina wybrała się nad morze. Fale były zdradzieckie. Jedna z dziewcząt weszła do wody i zniosło ją. Siostra poszła ją ratować i obie nie mogły dobić do brzegu. Trzecia z sióstr wskoczyła do wody im na pomoc i wszystkie trzy utonęły. Zapadła już noc, gdy morze wyrzuciło topielice na brzeg. Przywieziono je do Elbląga i złożono w szpitalnej kostnicy. Wielu pracowników poszło je zobaczyć, ale dyrektor zabronił dalszych odwiedzin czy raczej oględzin.

Już na parę godzin przed wyprowadzeniem zwłok na cmentarz odległy o kilometr, tłum ciekawych zaczął się gromadzić obok szpitala. Nawet wieść o aresztowaniu pierwszego sekretarza partii, tow. Bieruta, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Ameryki, nie zdołałaby przyćmić zainteresowania pogrzebem. Zaledwie grupa pogrążonych w żałobie krewnych i przyjaciół topielic poprzedzana przez trzy trumny wyszła boczną bramą, czekający na ulicy tłum dołączył się. Niektórzy pracownicy szpitala opuścili swe stanowiska i także doszłusowali, a za nimi rój pacjentów w szpitalnych piżamach i szlafrokach. Podpierający się laskami i ci o kulach podążali w ogonie kolumny. Matka mojej pacjentki, spiesząc się na pogrzeb potknęła się na schodach w pobliżu domu grabarza i złamała nogę w biodrze. Po drodze na cmentarz znajdował się stadion sportowy, gdzie właśnie odbywał się mecz piłki nożnej pomiędzy miejscowymi drużynami. Ku zaskoczeniu graczy widzowie opuścili stadion i dołączyli do kolumny pogrzebowej. Tłum wypełnił cmentarz, trudno było docisnąć się w pobliże otwartego grobu. Ci co przyszli zobaczyć *finale grande* tej tragedii, nie zawiedli się. Ojciec dziewczyn rzucił się na trumny, nie mógł rozstać się z córkami, chciał być pochowany razem z nimi, ledwo go zdołano oderwać.

Przyjaciół podarował mi książkę Hansa Fallady „Każdy umiera

w samotności". Są to dzieje prostego człowieka, berlińskiego stolarza, samotnie podejmującego walkę z totalitarnym systemem u szczytu jego potęgi, w chwili kapitulacji Francji. Pisze on karty oskarżające reżym hitlerowski i rozrzuca je po mieście. Mijają tygodnie, miesiące, lata. Prawie wszystkie karty szybko znajdują drogę do siedziby gestapo. Szczęście dopisuje stolarzowi, prześlizguje się przez oka zarzuconej na niego policyjnej sieci, aby w końcu zdradzić sam siebie. W trzypiętrowej kamienicy, gdzie mieszka, giną wszyscy. Pierwsza pani Rozentalowa, Żydówka, wyskakuje oknem, uciekając od oprawców. Ginie i sam stolarz zgilotynowany, i komisarz gestapo, który złapał go w swoją sieć. Piętro poniżej stolarza mieszka emerytowany radca kryminalny Fromm wypełniający czas czytaniem Plutarcha. I on ginie, od bomby. Zaciekało mnie, dlaczego radca na stare lata pasjonuje się Plutarchem, gdy dokoła umierają miliony, i kupiłem sobie „Żywoty Sławnych Greków i Rzymian”. Już we wstępie nazwano autora pogańskim lekarzem dusz. Powoli odkrywałem nieznaną mi dotąd świat ludzi i ludów dawno minionych. Ludzi, dla których celem istnienia nie było dotrwanie do spokojnej starości, ale pełnia życia. Tylko niewielu doczekało się podeszłego wieku. Schodzili z tego świata przedwcześnie, w blasku sławy lub niesławy.

Aleksander Wielki, zanim jeszcze stał się Wielkim, szykując się do przeprawy z Europy do Azji przez Hellespont rozdał wszystko cokolwiek posiadał. Zapytany, czy zatrzymał coś dla siebie, odparł - nadzieję. Nie było nadziei, abym kiedykolwiek wy dostał się na otwarty świat.

W domu moim towarzyszem był Julian Sorel z „Czerwone i Czarne”. Książka Stendhala leżała na moim stoliku nocnym i zwykle przed zgaszeniem światła otwierałem ją na chybił trafił aby przeczytać kilka stron. Podobnie jak i on, znajdowałem się prawie na dnie społeczeństwa i bez widoków na przyszłość. On jednak, dzięki przebiegłości i żelaznej woli osiągnął wyżyny paryskiej elity.

Od Paryża, miasta moich snów, zamieszkałego przez postacie z historii i z literatury, które jakbym znał osobiście przedzielały mnie linie drutów kolczastych, pola minowe, tysiące żołnierzy, tysiące luf.

Pewnego dnia, po paru kieliszkach mój przyjaciel, dr Śląski, wyjawiał mi rąbek cudzej tajemnicy, a mianowicie, że nasz kolega dr T., młodszy asystent na oddziale chirurgii dziecięcej wcale nie nazywa się T. Docent Maciejewski, szef dziecięcej chirurgii miał czterech asystentów, którzy dopiero co zaczęli praktykę w tej

dziedzinie. Potrzebował kogoś z klinicznym doświadczeniem na stanowisko adiunkta, zdolnego zastąpić go w razie potrzeby. W końcu zaangażował starszego lekarza z odpowiednim stażem, doktora Z. W tym momencie zaczyna się coś, co mogło się źle skończyć. Doktor T., jakoby rodem ze Lwowa, zanim został lekarzem, był dowódcą kompanii we Włoszech w korpusie generała Andersa. Wracając do Polski zaopatrzył się w dokumenty na inne nazwisko, aby zatrzeć ślady swej przeszłości. Otóż dr T. poznaje w doktorze Z., swym nowym zwierzchniku, żołnierza swojej kompanii. Nazwiska jego nie pamięta, i dlatego nie jest pewien czy dr Z. nazywał się Z. będąc żołnierzem u Andersa. Po radzie z moim przyjacielem, doktorem Śląskim, dr T. postanawia udawać, iż nie poznaje doktora Z. Sam jest przekonany, że dr Z. poznał go, bo jakby można było zapomnieć swojego dowódcę, zwłaszcza takiego, który odznacza się niewyparzonym pyskiem. W czasie wizyt w Akademii Medycznej nieraz spotykam doktora T. Oczywiście, nie przyznaję się do tego, co wiem. Mam nadzieję, iż dr Śląski, wstydząc się swego gadulstwa w stanie niezupełnie trzeźwym, także nie przyznał się doktorowi T., że podzielił się ze mną jego sekretem. Gdyby dr T. wiedział, że ja wiem, to w razie aresztowania, przy torturach, mógłby to wyjawić. Wtedy nie tylko poszedłbym siedzieć za to, że go nie wydałem, ale bezpieka zaczęłaby grzebać w mojej przeszłości. W rozmowach z doktorem Śląskim, a widywałem go codziennie, ani razu nie wróciłem do sprawy doktora T. Może Śląski nie pamiętał, że się wygadał? Nie chciałem mu tego przypominać.

Skończywszy „Żywoty sławnych mężów” Plutarcha kupiłem sobie „Moralia”. W jednym z rozdziałów autor podaje wiele przykładów powściągliwości w języku i skutków braku kontroli nad własnym gadulstwem. A oto jeden z nich: „Komediodpisarz Filipides odpowiedział królowi Lizymachowi, który mu okazywał serdeczność i pytał:

- Czego mam ci udzielić z tego, co posiadam?
- Czego chcesz, królu, byleby nie twych sekretów”.

Pewnego razu na stacji w Malborku wchodzę do przedziału, siadam, rozglądam się po pasażerach i rozpoznaję znajomego, kuzyna mojego przyjaciela. Widziałem go ostatni raz przed siedmiu laty, wkrótce po zakończeniu wojny. Zacząłem się dopytywać co robi, trochę też o sobie powiedziałem. Pociąg zbliżał się do Elbląga, więc poprosiłem o jego adres. Wyjąłem notatnik i zapisałem: Kowalski, ulica taka a taka, numer taki a taki. Nie pamiętałem nazwiska, ale coś

mi się „Kowalski” nie zgadzał. Spoglądał na niego, a on mi patrzył prosto w oczy bez mrugnięcia. Cały przedział pełen ludzi. Domyśliłem się, że to fałszywe nazwisko. Nigdy nie poszedłem go odwiedzić. Może nawet dał mi fałszywy adres. Po namyśle kartkę z notatnika wydarłem i zniszczyłem. Po paru latach dowiedziałem się prawdy od mojego przyjaciela. „Kowalski” w 1945 roku był dowódcą plutonu. Pewnego dnia, już po zakończeniu wojny, żołnierze zgłosili się do swego porucznika z „meldunkiem”:

- Panie poruczniku nie będziemy więcej komunistom służyć, idziemy do domu.

Zrzucili mundury i poszli, niektórzy z bronią, do lasu. Miał do wyboru - albo natychmiast powiadomić wyższe władze wojskowe o planowanej dezercji, albo samemu zrzucić mundur, co uczynił.

Raz w pociągu młody chłopak stał obok mnie. Wdaliśmy się w rozmowę. Właśnie wracał z komisji wojskowej i starał się o odroczenie. Opowiadał o swojej narzeczonej. Czas jazdy pomiędzy Malborkiem a Elblągiem wypełnił głównie mówieniem, a ja słuchałem. Minął rok, zobaczyłem go w tramwaju. Podchodzę i dla żartu mówię „dzień dobry”.

Odpowiedział „dzień dobry”, ale nie poznał mnie.

- Dostał pan odroczenie - powiadam i powtarzam mu to, co przed rokiem wygadał w pociągu na temat swych zobowiązań wobec służby wojskowej, w czym zresztą nie było nic nielegalnego. Zaniepokoił się, że tyle o nim wiem, a on nie wie, kim jestem. Dalej pytam się o jego narzeczoną, zapamiętałem kilka szczegółów o niej. Widzę, że zdenerwowany, ale nie przyznaje się, że mnie nie zna i próbuje podtrzymać konwersację. Pewnie wziął mnie za ubowca. W końcu nie chciałem go więcej dręczyć, powiedziałem mu prawdę. Zaczął się śmiać.

Pogorszyło się zaopatrzenie rynku w żywność, a zwłaszcza w mięso. Dopiero co generał Eisenhower został wybrany prezydentem Stanów Zjednoczonych. Mówiono, że szykuje się wojna i że rząd produkuje konserwy i magazynuje je dla przyszłego użytku wojska, niewiele zostawiając dla ludności. Właśnie wtedy gruchnęła wieść o aresztowaniu grabarza. Mieszkał on z rodziną w małym domku przy bramie cmentarnej. Okoliczności aresztowania miały być następujące:

Kilkuletnia dziewczynka umarła i została pochowana w Elblągu. Pewnego razu rodzice przyjechali odwiedzić jej grób i wchodząc na cmentarz zobaczyli dziecko grabarza bawiące się lalką ich córki,

lalką którą włożyli do trumny. Powiadomili milicję. Grabarz twierdził, że sam kupił lalkę w sklepie. Niemniej otwarto grób, trumna była pusta. Dopiero wtedy grabarz przyznał się, iż nocą wykopywał świeżo pochowane zwłoki i ludzkim mięsem tuczył świnię, które potem sprzedawał. Zaciekawieni mieszkańcy Elbląga pomknęli na cmentarz zobaczyć odkopany grób i ku swemu zaskoczeniu natknęli się na grabarza. Wielu uważało, iż zwolniono go celem zatuszowania tej cmentarnej afery, rzucającej ponury cień na obyczaje i stan wyżywienia społeczeństwa żyjącego pod socjalizmem. Plotki tak przybrały na sile, zwłaszcza wobec milczenia władz, że władze były zmuszone zaprzeczyć plotkom, co wcale nie przekonało niedowiarków. Wprost przeciwnie. Władze miały już długą tradycję kłamania, ich oświadczenia czytano na odwrót. Dementi więc dołało tylko oliwy do ognia, dodając mocy plotkom. Nawet o samobójstwach nie wolno było pisać w gazetach, a co dopiero o karmieniu świń trupim mięsem. Przez wiele miesięcy, nawet już po opadnięciu fali plotek, niemal każdego dnia grupka osób wystawała w bezpiecznej odległości, po drugiej stronie ulicy, na wprost bramy cmentarnej, najwidoczniej wyczekując ukazania się grabarza. Zwłaszcza w dni targowe po południu, we wtorki i piątki, gdy okoliczni rolnicy po sprzedaniu swych produktów zachodzili pod cmentarz przed powrotem do domu.

Obok nowego polskiego cmentarza rozprzestrzeniającego się poziomo, znajdował się stary cmentarz niemiecki rosnący wzwyż. Nikt tam nie zachodził, nie było świeżych wieńców na grobach. Za to tu i ówdzie pieńczyły się polne kwiaty, a najbardziej rozrastały się drzewa i krzewy, od lat nie przycinane. Cisza panowała taka, że słyszało się echo własnych kroków. Cmentarz przypominał lilipucie miasteczko; rodzinne mauzolea w kształcie domków, maleńkie kapliczki jak miniaturowe kościoły, a wszystko murowane lub wykute w kamieniu, solidnie zbudowane, jakby miało przetrwać do dnia sądu ostatecznego. Pnącza i winoroślą oplatały krzyże, pomniki, mauzolea. Przy głównej alei stała obszerna kaplica. Wewnątrz widać było zacieki od deszczu, tynk kruszył się i odpadał. Zachował się jednak czarny napis gotykiem:

*ALLE DIE AN IHN GLAUBEN NICHT VERLOREN WERDEN
SONDERN DAS EWIGE LEBEN HABEN.* Wszyscy, którzy w Niego wierzą, nie zginają, ale będą mieli życie wieczne.

Ileokroć odwiedzałem cmentarz, zachodząc do kaplicy odczytywałem te słowa, czasem na głos, i ciche echo szeptałem

odbijało się od półkolistego sklepienia. Wizyty na cmentarzu musiały dla mnie coś symbolizować, być może ucieczkę od zakłamanej teraźniejszości, otoczonej drutem kolczastym, wypełnionej brzydotą, portretami opryszków i czerwonym sukniem. Ten cmentarz z gotyckimi napisami, w obcym języku przypominał mi, że istniał i wciąż gdzieś istnieje inny świat, którego nigdy nie zobaczę.

Otworzono żłobek dla pracowników UB i milicji. Wydział zdrowia zwrócił się do mnie, abym wziął go pod swoją pieczę. Niebezpiecznie było odmówić, a jeszcze gorzej przyjąć tę pracę. Wiedzieli, że byłem w Armii Krajowej i gdyby mi się w czymkolwiek powinęła noga, od razu zarzucono by mi sabotaż, a do tego zaczęliby się grzebać w mojej przeszłości i mogliby dogrzebać się „bandy Błyska”, co by mi groziło karą śmierci. Jedynym poza mną kandydatem do przyjęcia na to „eksponowane” stanowisko była dr Krysia, moja zastępczyni. Ostateczną decyzję w sprawie zatrudnienia kogokolwiek na terenie policyjnym podejmował szef UB.

We wskazanym dniu razem z Krysią zgłosiliśmy się w budynku UB przy ulicy Kolejowej. Z wartowni małe okienko wychodziło na poczekalnię. Po wylegitymowaniu cywilny strażnik doprowadził nas na górę do gabinetu szefa. Był to obszerny mroczny pokój. Na ścianie wisiał portret ministra bezpieczeństwa, Radkiewicza. Na ogromnym biurku stało z dziesięć telefonów. Szef przywitał nas bez podania ręki. Był to postawny, wysoki mężczyzna, dość przyjemny w obejściu, zdawało się - człowiek wykształcony. Zaskoczyło mnie to, oczekiwałem pospolitego opryszka. Rozmowa zajęła nie więcej niż dziesięć minut. Podczas gdy szef i my oboje siedzieliśmy, z boku pod ścianą cały czas stał cywil, nie odezwawszy się ani słowem. Uzgodniliśmy z szefem, że jedno z nas podejmie się pracy w żłobku i damy mu znać kto. Zaraz po wyjściu z UB naradziliśmy się na ulicy. Żadne z nas nie chciało tej pracy. Każde z nas miało, jak to się mówiło, garb. Ja - AK, Krysia - wujka rozstrzelanego przez bolszewików w 1939 roku. UB o tym wiedziało i dlatego doświadczyła różnych trudności. Było to gorszym obciążeniem niż przynależność do AK. Żadne z nas nie mogło oficjalnie odmówić, nie narażając się władzom. Krysia była równą dziewczyną, można z nią było konie kraść. Przedstawiłem jej naszą sytuację następująco: ciebie z powodu wujka na pewno nie przyjmą, a mnie pomimo AK mogą przyjąć. Ty więc dobrowolnie zgódź się na objęcie żłobka, wobec tego ja nie będę musiał odmówić, a ciebie odrzucają. W ten sposób oboje wykręcimy się. Krysia zgodziła się. Po pół godzinie wróciłem

sam do UB. Mijając okienko między wartownią a poczekalnią, nie zwalniając kroku rzuciłem - do szefa. Nikt mnie nie zatrzymał. Poszedłem do gabinetu, szefa już nie było. Poinformowałem sekretarkę, że Krysia podejmuje się pracy w żłobku. I stało się jak planowaliśmy, odrzucono nas oboje. Gdy opowiadałem znajomym, jak idąc do szefa, przeszedłem kontrolę w wartowni, nie chcieli mi wierzyć. Był to zapewne najbardziej strzeżony budynek w Elblągu, choć na zewnątrz nie było wartownika.

Na kortach poznałem dyrektora banku. Kiedyś - sądzę że w zaufaniu - powiedział mi, iż po wypłacie, w ciągu tygodnia prawie wszystkie pieniądze wracają do banku. Zastanawiał się, z czego ludzie żyją przez następne tygodnie do wypłaty. Jeden z mieszkańców Elbląga otrzymał powiadomienie z francuskiej ambasady o nadejściu czeku na jego nazwisko. Miał się zgłosić do ambasady osobiście po odbiór pieniędzy. Oczywiście nie uczynił tego, albowiem wejście do jakiegokolwiek przedstawicielstwa kraju nie należącego do bloku sowieckiego równało się aresztowaniu, jeśli nie przy próbie wejścia, to na pewno po wyjściu. Obywatel ów napisał do ambasady, prosząc o przesłanie pieniędzy na jego adres domowy. Ambasada odmówiła. Francuzi nie zgadzali się na przeliczanie z franków na złote według kursu ustalonego przez komunistyczny rząd i chcieli mu dać całą sumę we frankach. Dalej ich nie obchodziło, co z nimi zrobi. Wobec odmowy ambasady zwrócił się do elbląskiego banku o pośrednictwo. Dyrektor banku też obawiał się wplątać w sprawę, która mogła zakończyć się oskarżeniem o szpiegostwo, zwrócił się więc do miejscowego urzędu UB o zaopiniowanie. UB z kolei przekazało tę sprawę Warszawie.

Kontrola policyjna tak się zaostrzyła, że na Wybrzeżu tylko niektóre odcinki plaży były udostępnione publiczności, i to jedynie za dnia w określonych godzinach. Aby pojechać w Tatry, trzeba było mieć przepustkę z milicji. Zastanawiające, dlaczego Stalin, tak czujnie strzegący granic swojego imperium, zostawił wolne przejście pomiędzy wschodnim a zachodnim Berlinem, którym już milion ludzi uciekło na drugą stronę. Wydawało mi się, że robi to celowo, by opróżnić Wschodnie Niemcy z ludzi i osiedlić tam swoich.

W prasie rozpętała się kampania przeciw kułakom czyli bogaczom wiejskim. Mój znajomy, całe życie mieszkający w mieście, napisał opowiadanie o walce klasowej na wsi. Chłop biedniak wstępuje do kolchozu, średniak po dłuższym wahaniu dołącza do biedniaka. Bogacz wiejski sabotuje ich wysiłek, zjednoczeni biedniak

i średniak niszczą bogacza, pomaga im UB. Pierwszej nagrody wprawdzie nie dostał, ale otrzymał list pochwalny. W prasie zaczęły się ukazywać karykatury bogacza wiejskiego, przedstawiające go zwykle w formie krzyżówki człowieka z pajakiem. Takie same widywałem w czasie wojny w piśmie Waffen SS „Der Stiirmer” przedstawiające Żydów, a czasem i katolickich księży. Nie mógł to być przypadek, zapewne je kopiowali.

W całym kraju, jak grzyby po deszczu, pojawiły się kursy nauki jazdy samochodem. Wobec groźby zbliżającej się wojny po wybraniu Eisenhowera na prezydenta Stanów Zjednoczonych, rządowi najwidoczniej zależało na wyszkoleniu wystarczającej ilości szoferów. Wskazywały na to instrukcje dla państwowych przedsiębiorstw. Zapisalem się na kurs składający się z części teoretycznej o budowie i funkcjonowaniu samochodu oraz praktycznej - nauki jazdy. Wykłady i pokazy odbywały się wieczorami w obszernej świetlicy. Kandydaci na szoferów pochodzili z różnych klas bezklasowego społeczeństwa. Od młokosów - rybaków w gumowych butach aż do samej pachwiny, którzy przyjeżdżali na lekcje aż z Zalewu Wiślanego, do inteligentów z uniwersyteckim wykształceniem. W toku wykładów nieoczekiwanie doszło do spięcia natury politycznej. W dyskusji na temat pierwszeństwa jazdy, instruktor poinformował słuchaczy, iż pierwszeństwo i prawo używania specjalnego sygnału posiada tylko straż pożarna, karetka pogotowia i samochód prezydenta Polski, Bolesława Bieruta. Ktokolwiek usłyszy ten sygnał, musi ustąpić drogi. Na to wstał jeden z uczniów i zapytał:

- Kto będzie miał pierwszeństwo, jeśli na to samo skrzyżowanie wjadą jednocześnie straż pożarna i prezydent Bierut?

Nie w ciemię bity wykładowca, zamiast samemu nadstawić karku, zwrócił się do sali, aby zyskać na czasie. Na to poderwał się jeden z rybaków i zawołał:

- Prezydent Bierut ma pierwszeństwo, bo jak się spóźni, to cała Polska może się spalić.

Na zakończenie kursu wykładowca przedstawił słuchaczom instruktora jazdy.

- Jest wymagający - rzekł - ale ma wasze dobro na sercu.

Zdanie teoretycznego egzaminu wcale nie było łatwe, bowiem należało szybko rozpoznawać różne części motoru. Przypomniało mi to egzamin z anatomii, gdy profesor podrzucał kość i musiało się w locie odgadnąć czy to prawa, czy lewa. Zaczęły się zajęcia

praktyczne. Wczesnym rankiem, załatwiwszy sobie w dyrekcji szpitala, że będę się nieco spóźniał do pracy, szedłem pod willę, gdzie na piętrze zamieszkiwał instruktor, przedwojenny wicemistrz w wyścigach samochodowych. Tak go nam w każdym razie przedstawiono. Umawiałem się pod jego domem między siódmą a ósmą rano, ale prawie nigdy go tam nie było o ustalonej godzinie, należało go obudzić. Trudność polegała na tym, że dzwonek na dole nie był wystarczająco głośny. Musiałem wykorzystać siłę własnego głosu, a gdy i to nie pomagało, walić w drzwi na parterze pięścią i butem. Trwało to czasem i trzy kwadranse. Podejrzywałem, że słyszał, ale nie chciało mu się wstać z łóżka. Wicemistrz zresztą zawczasu ostrzegł mnie, iż natura obdarzyła go twardym snem i poradził, abym nie dawał za wygraną. Mówiono, że wieczorami pociągał z butelki, choć w mojej obecności nigdy nie powiało od niego wódką. Gdy wicemistrz wyszedł w końcu z domu, przystępowaliśmy do uruchomienia silnika. On zasiadał za kierownicą, a ja kręciłem korbą, trzymając ją według regulaminu czterema palcami, z kciukiem na bok, aby go nie urwało, gdyby motor odpalił wstecz. Zastartowanie tego starego forda z czasów przed dojściem Hitlera do władzy nie przychodziło łatwiej niż budzenie wicemistrza. Bywało, że gdy mi ręka od kręcenia omdlała, on szedł do korby, a ja za kierownicę. Rano miałem możliwość pojeździć dłużej, będąc jedynym „studentem”. Po południu brał on do samochodu po trzech uczniów naraz. Wicemistrz miał mało zrozumienia dla cudzych niedociągnięć. W garści dzierżył wielki klucz, którym wymachiwał, wytykając błędy swym uczniom i podobno niejednemu przyłożył po łapach. Na kursie poznałem trzydziestoparolatka, inżyniera, który wciąż mieszkał z matką i ciągle o niej opowiadał. Tak go zdeprymowało to wymachiwanie kluczem, że zrezygnował z dalszych lekcji. Nie on jeden. Nie służywszy nigdy w wojsku i nie zakosztowawszy więzienia, wielu nie wyrobiło sobie odporności na pogroźki i wyzwiska.

Przyszedł dzień ostatecznego egzaminu. Cała komisja zjechała z Gdańska. Egzamin odbywał się w rejonie rozległego placu w centrum miasta, po części otoczonego ruinami z czasów wojny i przeciętego szynami kolejowymi. O ustalonych godzinach widywało się tam pociąg, a czasem tylko sam parowóz, który podzwaniając i pogwizdując posuwał się jak żółw. Przed parowozem maszerował kolejarz wymachując czerwoną chorągiewką. Egzamin początkowo szedł mi dobrze. Pierwszy błąd popełniłem, usiłując zaparkować

elegancko przy samym chodniku i stuknąłem w krawężnik. Speszony, za szybko ruszyłem, motor zgasł i ford stanął na samych szynach. Pociąg mógł nadjechać wkrótce, ale nie było czasu na próbę zastartowania motoru korba. Wyskoczyłem więc z samochodu i zepchnąłem go z szyn. Po pół godzinie dowiedziałem się, że mnie oblali, za to zdałem egzamin na prawo jazdy motocyklem, którym nigdy przedtem ani potem nie jeździłem. Dr Horst zdał, egzaminator od razu poznał w nim zawodowego szofera.

Jak dalekie echa dochodziły do Elbląga wiadomości o politycznych procesach i wyrokach śmierci w stolicach krajów demokracji ludowej. Stalin pozbywał się swych marionetek, jeśli wzbudziły w nim niechęć, i zastępował je innymi. Miało się już ku końcowi 1952 roku, gdy wybuchła „prawdziwa bomba”. Moskwa oznajmiła o wykryciu spisku lekarzy, którzy mordowali czołowych przywódców komunistycznych. Wymieniono nazwiska ofiar. Osobiście przyjąłem to z zadowoleniem jako zapowiedź wielkiej czystki. Przyszedł czas na rzeźników - iść pod nóż.

Wyobrażałem sobie taką scenę w sądzie. Błady Bierut przyznaje się, że przed wojną był agentem dwójki, a w czasie wojny współpracował z niemieckim okupantem i planował oddać Niemcom Ziemię Odzyskane. A może mu jeszcze udowodnią seksualne związki z nieletnimi. A Bermiana oskarżają, iż skazywał na śmierć niewinnych patriotów, aby podważyć zaufanie narodu do partii i zniweczyć przyjaźń polsko-radziecką, a także o szpiegostwo na rzecz Ameryki i o skupywanie złota. A jak się ci „wielcy” będą kajać i przyznawać do popełnionych i nie popełnionych zbrodni! I jak się będą wzajem oskarżać! Moim zdaniem, podobnie jak i innych, aresztowani radzieccy lekarze wcale nie byli niewinnymi ofiarami nowej czystki. Kręcąc się koło kremlowskich wyżyn, żyli w luksusie, a poza leczeniem zapewne także zajmowali się zabijaniem swych pacjentów na polecenie Stalina. Podpisywali fałszywe świadectwa zgonów ludzi mordowanych w czasie śledztwa przez NKWD. (To samo już się działo w Polsce). Pod ich nazwiskami wydawano podręczniki lekarskie. Kolegom lekarzom z wojskowego szpitala kazano wyrwać strony tytułowe z podręczników przetłumaczonych na polski, jeśli jako autor figurował w nich jeden z oskarżonych. Zastępca Berii, szefa policji i najpotężniejszego człowieka po Stalinie, „ustąpił” ze swego stanowiska, a na jego miejsce Stalin mianował innego. Wyglądało na to, że i sam Beria będzie aresztowany.

A tu nagle dowiedzieliśmy się, że Stalin zapadł na zdrowiu. Specjalny komunikat poświęcony jego chorobie, ogłoszony w Moskwie, zawierał także wyniki badań laboratoryjnych. Treść komunikatu niewiele miała sensu z medycznego punktu widzenia. Jedno było oczywiste - musiało być z wodzem źle. Natychmiast zarządzone zebranie wszystkich lekarzy. Odbyło się ono w szpitalnej auli, tym razem ścian nie pokryto czerwonym suknem. Z Gdańska, jako prelegent, przyjechał dr Krajewski. Zaczął swoje przemówienie od stwierdzenia, że wszyscy jesteśmy wstrząśnięci chorobą Stalina, wielkiego przyjaciela Polski. Po krótkim wstępie odczytał komunikat moskiewski, którego treść i tak już znaleźliśmy z radia. Zaledwie skończył, powstał dr Gieschke, osiemdziesięcioletni gdańszczanin.

- Chciałbym zadać pytanie koledze Krajewskiemu - oświadczył, i nie czekając na reakcję Krajewskiego ciągnął dalej: - Ja nie rozumiem, dlaczego jest tyle limfocytów w rozmazie krwi, sądzę, że powinno być mniej... i coś jeszcze więcej na temat wyników laboratoryjnych i diagnozy.

Gieschkiemu chyba pomieszało się w głowie i wziął to zebranie za zwykłe posiedzenie lekarskie, gdzie dyskutuje się trudniejsze i ciekawsze przypadki. Kto wie czy prelegentowi w tym momencie nie przypomniało się więzienie, z którego niedawno wyszedł. Z ciekawością czekałem, jak on spróbuje z tego wybrnąć. Krajewski utkwiał wzrok w Gieschkiego, który zamiast usiąść, wciąż stał, wysoki, chudy, siwy, pomarszczony.

- Kolego Gieschke - podniósł głos Krajewski - ja wam na to pytanie nie odpowiem.

Po dwóch dniach - generalissimus, wielki motorniczy radzieckiej lokomotywy, językoznawca, chorąży pokoju, przywódca klasy robotniczej całej planety, wódz ludów radzieckich, o którym wciąż nowe pieśni układa nasz wiek - obrócił się w próchno.

Po śmierci Stalina we wszystkich polskich miastach odbyły się symboliczne pogrzeby. Zwykle w czołówce żałobnego pochodu szła osoba okazująca objawy nieutulonego żalu w postaci szlochania, szarpania włosów i drapania twarzy zgodnie z tradycją zawodowych płaczków, dotąd nieznaną wśród Polaków.

W Elblągu kondukt żałobny pracowników szpitala prowadziła salowa, niska i czarniawa, sekretarz podstawowej organizacji partyjnej. Zanosila się płaczem i szarpała swe włosy czy też się drapała. Usłyszałem od kolegi z Warszawy, że lekarka z kliniki

dziecięcej na Litewskiej, członkini partii, idąc w czole grupy pracowników szpitala roniła łzy i też się drapała czy szarpała.

Zastanawialiśmy się, kto obejmie tron po Stalinie. Jak dotąd hierarchia władzy była widoczna podczas ważnych uroczystości w Moskwie, gdy członkowie politbiura wchodzili na salę obrad. Pierwszy Stalin, za nim zawsze w tej samej kolejności: Mołotow, Malenkow, Beria, Woroszyłow... Chruszczow gdzieś przy końcu. Na trybunie w czasie defilad Stalin stał (lub siedział) pośrodku, pomiędzy Mołotowem i Malenkowem, a pozostali członkowie politbiura, im mniej ważni, tym dalej od Stalina. Doszły słuchy, że w czasie defilady pierwszomajowej dwa miesiące po śmierci Stalina, Beria spóźnił się nieco, przyszedł gdy wszyscy członkowie politbiura już stali na trybunie i wsunął się pomiędzy Mołotowa i Malenkowa. Dla milionów ludzi, którzy maszerowali przed trybuną, którzy oglądali defiladę na filmach, widzieli trybunę na fotografiach, mogło to znaczyć, że Beria jest następcą Stalina.

Wiele dzieci ginie z powodu błędnych diagnoz, najłatwiej postawić poprawną, gdy już za późno na wyleczenie. U niemowląt ropne zapalenie opon mózgowych sprawiało największe trudności diagnostycznych. U starszych dzieci - gruźlicze zapalenie opon i ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Zdarzyło się to i mnie, gdy pracowałem jeszcze w Akademii Medycznej w Gdańsku. Byłem na ostrym dyżurze, izba przyjęć zawałona chorymi dziećmi, dla których nie ma łóżek. Badam dziewczynkę pięcioletnią - chora już drugi dzień, ból brzucha, biegunka, wymiotowała. Już dostała na przeczyszczenie i sulfathiazol. Brzuch miękki. Jeśli ją przyjmę, muszę położyć na korytarzu. Postawiłem diagnozę *enteritis* (zapalenie jelit).

Rodzice mili, kulturalni. Odesłałem ją do domu z poradą, aby dalej zajął się nią lekarz domowy. Tydzień później, na kilka godzin przed śmiercią, przyjęto ją na chirurgię w końcowym stadium zapalenia otrzewnej. W ciągu pierwszych dwóch dni widziało ją ze dwunastu lekarzy, żaden nie poznał się na jej chorobie. Ostatni, znany i wzięty konował, przepisujący na wszelkie dolegliwości modny antybiotyk, leczył ją przez tydzień zastrzykami penicyliny. Rodzice zaskarżyli do sądu wszystkich lekarzy z wyjątkiem konowała. Było to już drugie dziecko, które stracili. Pierwsze dostało zakażenia meningokokiem połączonego z krwawą wysypką. Lekarz rozpoznał odrę.

Często prosiłem doktora Śląskiego na konsultacje. Był dobrym diagnostą, nie upierał się przy swoim, gdy początkowo pomylił się i przyznawał się, gdy nie wiedział.

Okulistką była miła dr Sobieska. Razem opisaliśmy przypadek powikłań ocznych u niemowlęcia po szczepieniu BCG. Jeśli chodzi o szczepienia nie wolno było używać słowa „komplikacja”. Skoro szczepiono na polecenie rządu, nie mogło być komplikacji czy powikłań, więc z tytułu publikacji musieliśmy usunąć to słowo. Zresztą i gazetom nie wolno było drukować złych wiadomości. Gwałty, morderstwa, samobójstwa, katastrofy kolejowe zniknęły ze szpalt prasy.

Lekarze mają zwyczaj zabawiać się, opowiadając sobie dziwaczne przypadki. Raz zgłosił się do dr Sobieskiej pacjent użalający się na pogorszenie wzroku w jednym oku. Przy badaniu okazało się, że był ślepy na drugie oko, o czym nie wiedział. Na oddziale wewnętrznym leżał ciężko chory mężczyzna z ropniem płuca. Raz krztusząc się wypluł kłos żyta, który był przyczyną ropnia. Człowiek ten w czasie pracy w polu nie zauważył, że mu wpadł do płuca cały kłos i zgłosił się do lekarza, dopiero gdy dostał gorączki.

Od czasu do czasu wydarzało się coś zabawnego, o czym wieść obiegała szpital lotem błyskawicy. Raz bohaterem była magister, kierowniczka laboratorium, pani w turbanie. A oto co się wydarzyło:

Właśnie wniesiono do szpitala zalanego krwią pacjenta, który wpadł pod tramwaj. Dr Dąbski zażądał określenia grupy krwi. Pani w turbanie wbiegła na salę operacyjną i, najwidoczniej doznawszy wstrząsu na widok zmasakrowanego człowieka, chwyta go za rękę, by naciąć palec celem pobrania krwi i woła:

- Skąd mam wziąć krew?

Na to retoryczne pytanie, dr Dąbski natychmiast ripostuje swoim powolnym basem:

- Z dupy, proszę pani.

W domu dziecka infekcje wygasły, śmiertelność na oddziale zmniejszyła się. Zainteresowanie władz Elblągiem powoli opadało. Wśród pediatrów i epidemiologów miasto zdobyło sobie reputację centrum tyfusu mysiego w Polsce. Poprzednio, gdy kryzys wybuchł, coraz ważniejsze osobistości zjeżdżały, aż do wizyty członka KC z Warszawy. Z upływem czasu coraz to mniej ważni inspektorzy zjawiali się, a było ich tylu, że unikałem ich jak zarazy. Pomóc nie pomogli, a zaszkodzić mogli. Przed ich przybyciem wymykałem się

ze szpitala. Było to o tyle łatwiejsze, iż pojawiali się zwykle po południu. Miałem więc dobry pretekst, że wyszedłem w sprawach służbowych, rzekomo nie wiedząc o ich zamierzonej wizycie. Oddziałowa pielęgniarka Zosia znakomicie wyręczała mnie „wylewając pomyje” na głowy inspektorów:

- Tego nie mamy, tamtego nie mamy, tego nam potrzeba.

Pełniła tę rolę lepiej ode mnie. Ja w oczach inspektorów byłem podejrzanym inteligentem i to z akowskim obciążeniem, podczas gdy ona bardziej reprezentowała lud. Wymykałem się ze szpitala tą samą zapajęczoną, nie używaną klatką schodową, którą niegdyś Piszczek zakradał się nocą do laboratorium.

Raz personalny szpitala Baster, gdy zaszedłem do jego gabinetu, powiedział mi:

- Mówią, doktorze, że wychodzicie wcześniej ze szpitala.

Już zacząłem się bronić i dopiero po chwili odgadłem, że mnie nie oskarża, ale ostrzega. Nieraz rozmawialiśmy na temat przyrody i rybołówstwa. Baster lubił zaszyć się w gąszcz leśny, gdzie nie ma ludzi, lub spędzić dzień z wędką w ręku. Mnie łowienie ryb nigdy nie interesowało, ryb nie lubię, nawet na talerzu, od czasu gdy w stołówce wybrzeża dzień po dniu serwowano ryby. Nawet na ścianie stołówki widniał zachęcający napis: „Jedzcie dorsze”. Tak jakby był jakiś wybór. Ktoś rozgoryczony dopisał do rymu: „Gównno gorsze”.

Ze szpitala wymykałem się czasem może piętnaście minut wcześniej, i to już wystarczyło na donos. Nie miało znaczenia, że często musiałem zostać po godzinach pracy lub wracałem na oddział wieczorem. Raz zawiadomiono mnie, że lekarz wojewódzki przyjeżdża do Elbląga na inspekcję. Nie przywiązując wiele wagi do tego, o trzeciej godzinie, kiedy oficjalnie kończyła się moja praca, opuściłem szpital i poszedłem na kort tenisowy.

Następnego dnia dowiedziałem się, że dostojnik wpadł w szal z powodu mojej nieobecności i miotał pogrózkami. Rozkazał, abym się zgłosił u niego w biurze w Gdańsku w oznaczonym dniu i godzinie. Wicedyrektor Milczek wydawał się być zatroskany o moją przyszłość. Aby się utrzymać na stanowisku lekarza wojewódzkiego, dygnitarz musiał być dobrze osadzony w partii i mieć powiązania z UB. Był to chyba koniec czerwca 1953 roku, trzy miesiące po śmierci Stalina. W dzień czy dwa po wizycie dostojnika Moskwa ogłosiła wiadomość o aresztowaniu Berii, szefa wszystkich policji, pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Miał on uprawiać ten proceder od samego zarania swej rewolucyjnej kariery, od 1918 roku.

Będąc przekonany, że strach padł na tych najważniejszych, pojechałem do Gdańska pełen dobrej myśli i nie omyliłem się. Dostojnik-lekarz, który jeszcze kilka dni temu w Elblągu okazał maniery tygrysa, w czasie rozmowy ze mną przypominał bardziej jagnię i zdawał się być przejęty czym innym. Zapewne myślał o Berii i o swojej karierze. Przeprosiłem go za nieobecność w czasie jego inspekcji w Elblągu, kłamiąc, że nic wcześniej o jego wizycie nie wiedziałem. I na tym się skończyło.

Kierowniczką domu dziecka raz coś napomknęła o pielęgniarce Danusi i o mnie. Było to powiedziane w takiej formie, iż uważałem za wskazane poradzić kierownicze, aby nie wtykała nosa w cudze sprawy. Do tego dodałem, siebie stawiając za przykład dyskrecji i dobrych manier, że mnie zupełnie nie interesuje, jakie majtki ona nosi, białe czy niebieskie. Wkrótce personalny wydziału zdrowia, ten sepleniący i bez palców, poinformował mnie, iż kierowniczka poskarżyła się na mnie władzom. Według niej miałem powiedzieć, iż mnie nie obchodzi, czy ona nosi białe czy czerwone majtki. W ówczesnym klimacie politycznym, zmiana koloru majtek z niebieskiego na czerwony mogła być interpretowana jako próba denuncjacji. Łączenie rewolucyjnej czerwieni z majtkami trąciło szyderstwem z władzy ludowej, rewolucji październikowej i Kraju Rad.

Personalny, człowiek prosty i prostolinijny, nie lubił kierowniczki, prostaczki udającej inteligentkę. Nie wyrażał się o niej inaczej jak „ta kurwa”. Danusia też miała niskie mniemanie o jej stanie umysłowym, opisując to jako pomieszanie z poplątaniem. Sprawa ta dotarła do profesora Brokmana, który spytał mnie o to w czasie jednej z moich wizyt w Akademii Medycznej. Gdy mu wyjaśniłem, że kierowniczka wtrąca się w cudze prywatne sprawy, Brokman odrzekł, że na terenie zakładu pracy, sprawy prywatne przestają być prywatnymi.

Rewizja w domu dziecka ujawniła ukryte worki cukru, których kierowniczka nie wykazała w remanencie. Wyrzucono ją z pracy i wszczęto dochodzenie.

Od czasu do czasu, gdy miałem ogólny dyżur szpitalny, wzywano mnie na oddział gruźlicy, zwykle do konających lub by podpisać świadectwo zgonu. Dla wielu chorych był to ostatni etap przed kostnicą. Leczenie ograniczone do odmy i witamin nie wszystkim pomagało. Panowała tam cisza przerywana kaszlem i rżeniem. Wchodząc na oddział wyobrażałem sobie miliony prątków

Kocha zawieszonych w powietrzu. Oddychałem przez zaciśnięte wargi, jak ci inspektorzy na zakaźnym, a po wyjściu spluwałem i płukałem usta roztworem wody utlenionej.

Do moich obowiązków w szpitalu, domu dziecka i przychodni doszedł nadzór nad żłobkiem. Panował tam wzorowy porządek dzięki siostrze Roszkowskiej. Poprzednio była ona kierowniczką sali operacyjnej, ale usunięto ją podobno z powodu ciągłych zatargów ze wszystkimi - jak się później dowiedziałem - z dużą stratą dla chirurgii. Zawczasu ostrzeżono mnie, że dotąd żaden lekarz żłobka dłużej z nią nie wytrzymał. Była to kobieta o suchej, jakby pergaminowej skórze, o bladej niezdrowej cerze i ciemnych włosach, nieprzyjaznym głosie, a do tego chuda. Kierowniczką żłobka, nie mówiąc już o pozostałym personelu, bała się siostry i wykonywała wszystkie jej polecenia. Żłobek był prowadzony twardą ręką jak jednostka wojskowa. Nawet gdy siostra o coś prosiła, co nie zdarzało się często, brzmiało to bardziej jak rozkaz. Dzieci były zadbane, przewinięte, nakarmione. Wcześniej rano siostra dokładnie oglądała przynieszone maleństwa i jeśli wyglądały na chore, nie przyjmowała ich i odsyłała do ośrodka zdrowia. Jeśli dzieci były brudne, odparzone, zaniedbane, rugała matki. Zachodziłem do żłobka dwa czy trzy razy na tydzień. Na polecenie siostry serwowano mi „próbkę” obiadu, który otrzymywały starsze dzieci. Jedzenie było znakomicie przyrządzone. Siostra informowała mnie o stanie zdrowia jej podopiecznych, a potem robiliśmy obchód i badałem te dzieci, które mi wskazała. Mówiła mi jakie leczenie mam przepisywać i prawie zawsze miała rację. Czasem odrzucałem jej sugestie, zwłaszcza jeśli chodziło o zastosowanie penicyliny, cieszącej się reputacją panaceum na niezliczone dolegliwości, nie tylko pośród laików, ale także pracowników służby zdrowia. Wielu mieszkańców Elbląga i okolic wymawiało nazwę tego leku „panicelina”, jak pani Celina. O pielęgniarkach z awansu społecznego, tych po sześciomiesięcznym kursie, siostra Roszkowska nie wyrażała się inaczej jak „te dziwki od gnoju”. Jej słabą stroną było, że nie potrafiła się ugiąć, a czasem trzeba było się przygiąć aż do samej ziemi. Przed moim wyjazdem z Elbląga siostra podarowała mi strzykawkę amerykańskiej produkcji, luera - wielce były cenione, bowiem całe ze szkła nie rozlażyły się od gotowania jak nasze. Nie zapakowałem jej odpowiednio i stłukła się po drodze.

Rozpocząłem starania o powiększenie oddziału. Przy stanie trzydziestu dwóch, mieliśmy w rzeczywistości więcej pacjentów.

Często gdy brakowało wolnych łóżek dla niemowląt, dostawiano kosze na bieliznę. Do tego dzieci chore na gruźlicę leżały razem z dziećmi chorymi na wszystkie inne choroby. Główną trudnością w realizacji planów poszerzenia oddziału był brak miejsca i pieniędzy. W końcu znalazło się jedno i drugie. Drzwi pediatrii otwierały się na bardzo szeroki korytarz z dużymi oknami. Tam wybudowaliśmy szereg oszklonych klitek wyłącznie dla gruźlików. Oddział powiększył się do pięćdziesięciu łóżek.

Po pewnym czasie znowu wezwano mnie na przesłuchanie, razem z Danusią. Już dobrze nie pamiętam, o co chodziło, chyba o jakieś meldunki. Czyżby był za tym donos kierowniczkii albo ręka brodacza? My dwoje, ludzie pracy, musieliśmy stać, a partyjni siedzieli. Wlepili nam karę, mnie czterysta, jej dwieście złotych. Zapłaciłem obie. To było podziękowanie za naszą pracę. Nie wiem, czy bardziej ich się bałem, czy bardziej nienawidziłem. Odtąd będę grał ich grę, będę kręcił jak oni, postanowiłem. Nawet dr Wojewodziak zauważył zmianę we mnie. Wkrótce Danusi skończył się dwuletni przydział pracy i wyjechała.

Gdzieś pomiędzy Elblągiem a morzem leżał letni obóz, czyli kolonia dla dzieci Polaków zamieszkałych we Francji. Znajdował się pod bezpośrednią kuratelą Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. O istnieniu obozu dowiedziałem się od brodacza, gdy otrzymał on alarmowy telefon z Warszawy - w obozie zidentyfikowano przypadek odrzy. Ministerstwo Zdrowia nakazywało, aby natychmiast zastosować środki zapobiegające szerzeniu się tej choroby. Tego samego dnia samochód wydziału zdrowia zawiózł mnie na miejsce. Obóz był świetnie zaopatrzonej, jak na polskie warunki. Oczywiście darmowy, aby pokazać polskim robotnikom we Francji, że rząd komunistyczny dba o dzieci. Chłopczyk chory na odrę już wyzdrowiał. Po zebraniu dodatkowych informacji doszedłem do wniosku, że była to jakaś nieodrowa wysypka. Skoro jednak Warszawa uważała, że to odrzy - to będzie odrzy. Nie chcąc narażać się na oskarżenie o sabotaż w skali międzynarodowej, zarządziłem - w myśl łacińskiego powiedzenia: *ut aliquid fieri videatur* (aby się wydawało, że się coś robi), aby wszystkie dzieci, celem uodpornienia przeciw odrze, otrzymały zastrzyki gamma-globuliny zachodniej produkcji, innej zresztą nie było. Zatelefonowałem w tej sprawie do odpowiednich władz gdańskich i warszawskich. Wbrew obietnicy, zamiast skoncentrowanej i oczyszczonej gamma-globuliny przysłano mi zwykłą surowicę ludzkiej krwi, której należało wstrzykiwać

domięśniowo dziesięciokrotnie więcej, do dziesięciu cm³ lub ponad, zależnie od wagi dziecka. Nie mogłem samowolnie zmienić tej instrukcji, ale patrzyłem przez palce, podobnie jak i pielęgniarka obozu, jak co najmniej połowa surowicy wyciekała. Igły i tłoczki nie pasowały do strzykawek, które się rozłaziły od ciągłego gotowania. Niektóre dzieci wystraszyły się. Na równą liczbę obu płci, wielu chłopców zaniósł się płaczem, a tylko jedna dziewczynka. Popamiętają ten ruski miesiąc w Polsce, pomyślałem. I tak za miesiąc wrócą do Francji, a ja tu zostanę.

Profesor Brokman uzyskał przeniesienie do Warszawy, gdzie pracował jako lekarz do wybuchu wojny. Miał tam objąć katedrę pediatrii i kierownictwo kliniki dziecięcej przy ulicy Działdowskiej. Latem 1953 roku zaproponował mi stanowisko starszego asystenta, co oczywiście przyjąłem. Pojawiła się nadzieja powrotu z wygnania do Warszawy, gdzie się urodziłem, żyłem, i rozminąłem ze śmiercią wiele razy. Dyrektorem departamentu matki i dziecka miała być dr Słomczyńska. Jej syn podobno służył w Armii Krajowej i zginął w czasie powstania. Władze policyjne i inne wiedziały o mojej przynależności do AK, co właściwie wykluczało wszelki awans. Liczyłem jednak na poparcie dr Słomczyńskiej. „Szarą eminencją” departamentu i dysponentem władzy nad pediatrią w Polsce była dr Moslerowa, przysadzista brunetka. Wcale nie ukrywała faktu, że ona rządzi, więc właściwie trudno było zwać ją szarą eminencją. Brokman był szczególnie ostrożny mówiąc o niej. Moslerową widziałem w departamencie kilka razy, ale nigdy nie spotkałem dr Słomczyńskiej. Chyba przed końcem lata Brokman wyjechał na stałe. Miesiąc czy dwa później zawiadomił mnie, iż uzyskał zgodę ministerstwa na przeniesienie mnie do Warszawy. Musiałem jeszcze otrzymać pozwolenie dyrekcji szpitala oraz miejscowego i gdańskiego wydziału zdrowia na opuszczenie Elbląga. Udało mi się przekonać odpowiednie władze, że leczenie dzieci nie dozna uszczerbku, jeśli stanowisko ordynatora obejmie dr Krysia.

Był zwykły jesienny dzień, gdy z walizką w ręku stanąłem na peronie stacji kolejowej w Elblągu. Tyle się w moim życiu wydarzyło w ciągu tych dwóch i pół lat. Wyjeżdżałem już jako inny człowiek.

W Malborku, korzystając z długiej przerwy pomiędzy pociągami, poszedłem do zamku po raz ostatni popatrzeć na wielkich mistrzów zakonu. Pusta fosa, zwodzony most, dziedziniec. Tu i ówdzie leżały świeżo spadłe z drzew kolorowe liście. A oto i posągi. Było coś urzekającego w ich kamiennej obojętności na wydarzenia tego

świata. Wielcy mistrzowie zakonu stali tak samo wpatrzeni w ruiny swojego zamku, jak wtedy, gdy zaszedłem tu pierwszy raz, jadąc do Elbląga z nakazem pracy w kieszeni.

Następnego dnia na dworcu w Gdańsku wsiadłem do warszawskiego pociągu, nie wiedząc, że zaczynam znacznie dłuższą podróż niż sądziłem, i że wkrótce porwie mnie huragan i wyrzuci u brzegów Ameryki.